



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEI

ROK 1924. WARSZAWA, 30 SIERPNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

## TREŚĆ NUMERU:

Joseph Conrad—P. Zrzeszenie Kobiet w Krakowie—*Marja Hornowska*. Dom—*K. S.* Wiersze—*Wanda Wasilewska*. W Colosseum (feljton)—*Marja Grossek-Korycka*. Sentymtalna nowelka (c. d.) — *Grazia Deledda* (przekł. *J. D.*). Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna*. Staruszka z kinematografu—*Vicente Blasco Ibanez* (przekł. z hiszp. r. c.). Emil Verhaeren (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. *Marja Wołkońska* i *Teresa Confalonieri* (c. d.) — *K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogji (c. d.) — *Emilja Tecka*. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca (c. d.) — *Kazimierz Rogala-Kosiński*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z naszych letnich stolic — *I. W. K.* Na żółtym piasku francuskich wybrzeży — *Regina z Szymbalskich André*. Z książek — *ab.* Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW

## JOSEPH CONRAD

Zgasł Joseph Conrad, wielki pisarz angielski, którego imię wszechświatowej sławy, widniejące na setkach tysięcy książek jest wspaniałą propagandą kultury brytyjskiej.

Polskie pochodzenie Conrada dla większości jego czytelników jest tajemnicą, zresztą sam autor rzucił na nie cień zapomnienia.

Niewielki zaledwie odsetek jego czytelników wie, że imię jego brzmi: Teodor-Józef-Konrad Korzeniowski i że pierwszą jego ojczyzną jest Polska.

Tu i owdzie w wspomnieniach pośmiertnych o Conradzie znajdzie się notatka o polskim pochodzeniu wielkiego pisarza, o jego dalekiej ojczyźnie, w której spędził młodość i którą porzucił, stojąc już na progu wieku dojrzałego, by iść na wielką wędrowną po obcych morzach i ziemiach.

Krytycy angielscy i francuscy, uderzeni nowością i nieporównaną świeżością w twórczości Korzeniowskiego, oczarowani czemś innym, co nadaje utworom Conrada nieznaną w literaturze angielskiej charakter i napełnia jakąś pociągającą pięknoscią, szukają źródeł w rasie wielkiego pisarza—w jego polskim pochodzeniu.

Krytyk angielski, Richard Curle—analizując język Conrada, pisze: „Muzykalność prozy Conrada nie jest to już jedynie rozwój i rozszerzenie uśłowań angielskich, to jest wogóle nowa melodyjność romantyczna, tajemnicza, przejmująca muzyczność innej rasy”. Krytyk francuski, Giller stwierdzając, że Conrad jest pochodzenia polskiego i że dobrze po czterdziestce zaczął pisać w angielskim języku, którego stał się mistrzem, w pochodzeniu autora szuka wyjaśnienia właściwości jego nawskroś oryginalnego

języka. A jednak Joseph Conrad był Anglikiem, był nim, choć kolebką jego była Ukraina, choć najmłodsze lata spędził wśród twórców wybuchu powstania 1863 — choć odbył wraz z ojcem i matką wędrowną zesańczę na Sybir i choć szkoły kończył w najpiękniejszym z polskich miast, w Krakowie. W sześć lat po śmierci ojca, 1874—porzucił ojczyznę, powędrował tam, gdzie go wołała tęsknota i najgorętsze, młodzieńcze pragnienie — powędrował ku morzu.

W ciągu lat trzech pływał po morzu Śródziemnym, był w Indiach, aż wreszcie stanął na ziemi angielskiej i tu znalazł swą ojczyznę.

Był synem morza, kochał bezgranicznie i namiętnie „jego szary przestwór i fale, w których wiatr przeorał wielkie i długie brzozy i zwoje wzburzonej piany, rozwiane, jak kędziory starego olbrzyma” (Joseph Conrad

„Dusza przeciwnika“). „Morze nie było dlań czemś po czem się jeździ, lecz najintymniejszą towarzyszką życia“ („Dusza przeciwnika“).

O morzu mówił w najtkliwszych i najmelodyjniejszych słowach, wydobywając ze starożytności Schakespeare'a taką śpiewność i miękkość—jakiej dotąd nikt przed nim wydobyć nie zdołał, mówił „o nieustannym jego szumie..., o czarownym lśnieniu, o napadach bezrozumnej, kapryśnej wściekłości, o wieczystej zmiennej powierzchni, co nęci [zawsze jednak, i o przepastnych głębiach zimnych i okrutnych, a bogatych w wiedzę, o zniweczonem życiu. Opowiadał, jak morze rzuca czar na ludzi i przykuwa ich do siebie, a po tem pochłania wiernych niewolników“ (Joseph Conrad „Fantazja Almayera“).

Tak się stało—morze rzuciło nań czar i przykuło do siebie na wieki. Morze oderwało go od Ojczyzny.

Jako młody chłopiec porzucił najbliższych, zerwał węzły, wiążące go z dotychczasowem życiem, przełamał w sobie instynktowne lgnięcie do dawnego życia, dawnych przyzwyczajzeń, dawnych twarzy, zdławił w sobie lęk przed krokiem ostatecznych, lęk, o którym mówił, że „czai się w każdej ludzkiej piersi i zapobiega tylu bohaterstwom“. A gdy potem po latach w cudnej swej książce „Fantazji Almayera“ będzie kreślić moment decyzji, która zapada w duszy córki Almayera, zrywającej z ojcem, by iść za głosem serca i instynktu, kto wie, czy nie własne będzie kreślić uczucia, gdy w twarde postanowieniu, w niezłomnem skrzepnięciu woli zerwie się do lotu w nieznane przestrzenie mórz i oceanów i „w radosnym triumfie odrzuci wzgardliwie całą przeszłość, smutne myśli, uczucia i wątle przywiązania“.

A gdy usłyszał łoskot fal morskich i szum wiatru, gdy wciągnął w piersi oddech oceanu, zapomniał o kraju, „pełnym chwały grobowców i tragicznych wspomnień“ („Poland Revisiting“), o smutku, który włókł się za nim od najwcześniejszego dzieciństwa, o stłumionych łkaniach i bolesnych westchnieniach, które towarzyszyły jego chłopięcym zabawom, o porzeczonych nadziejach, o trwożliwej i małodusznej rezygnacji narodu.

Był uosobieniem bezprzykładnej potęgi woli i kipiącej radości życia.—

W Polsce po powstaniowej dusił się jak człowiek pozbawiony oddychalnego powietrza. Odszedł—i zapomniał. A naród, który po tragicznych wypadkach stracił wiarę we własną potęgę—stracił w nim jednego z najgenialniejszych swych Duchów.

Józef Korzeniowski został Anglikiem.

Synów swych nie nauczył po polsku. Gdy w r. 1914 był w Krakowie—patrzył nań oczami cudzoziemca—nie usłyszał tętna życia, które miało w pamiętnych dniach sierpniowych wstrząsnąć sercem miasta, on—syn powstańca, którego „wykołysała dłoń najszlachetniejszej i najdosłojniejszej kobiety naszego rodu“, nie przeczuł nadchodzącego zmartwychwstania.

O wędrówce swej po Krakowie mówi 1915 r. w swych wspomnieniach, zatytułowanych „Poland Revisiting“: „wydawało mi się, że gdybym pozostał dłużej w tych wązkich ulicach, stałbym się bezwolnym łupem widm, które przyzwałem. Tłoczyły się dokoła zagadkowe i uparte, czepiały się mnie, niosąc tchnienie pyłu grobowego i gorzyc dawnych, zawiedzionych nadziei“.

A jednak... gdy na kilka tygodni przed śmiercią w domu Conrada złożyła wizytę kuzynka jego, panna R.—mówił z nią tylko po polsku, ożywił się, rozweselił, zapytywał o krewnych, znajomych, dawnych przyjaciół—potem z niezwykłą, porywającą plastyką zaczął wspominać swój pobyt na Ukrainie i malować piękno stepów ukraińskich—jakby patrzył na nie nie z dalekości swej angielskiej ojczyzny, ale z miłującej bliskości synowskiego serca.

Joseph Conrad—ani jednej książki nie napisał po polsku. Ale oto książki te wchodzić w nasze życie w tłumaczeniach, stojących na wyżynie oryginału, dostają się do rąk polskiego czytelnika—żłobią w jego duszy niezatarty ślad. To nie cudzoziemiec, to w polskiej mowie—polak mówi do swych braci o cudownych krajach, które oglądały śmiałe oczy wędrowca, o najdzikszych szaleństwach

i przygodach, którym stawiał czoło, o wielkości, bohaterstwie, łotrystwie i niedoli ludzi, których widział i poznawał w swych nieskończonych podróżach, biegnących od zimnych światel północy, aż po krwawe upały zwrotnika.

Książki Conrada stają się, i zresztą muszą się stać, ulubioną lekturą naszej młodzieży. Muszą wejść głęboko w życie. Nieprawdą jest—jakobyśmy byli narodem, niewolniczo przywiązany do własnej zagrody. Gnała nas z tych zagród rodzinnych tęsknota, wiodła na dalekie ziemie i morza—prowadziła przez kraj przygód i cudownych zdarzeń. I to nie była chęć wzbogacenia się za morzami, by potem z pełną sakwą dokonać sytego żywota—to był—o jakże często! instynkt wędrowca, który wiódł w nieznane, odległe kraje, kazał łamać się z trudnościami, zaglądać niebezpieczeństwu w oczy, to był instynkt wagabundy—kochającego się w zawadjackiej lekkomyślności, w zdolności do ryzyka i nadstawiania karku. Kiedyś może wypłyną nazwiska polskich, śmiałych włóczęgów, nazwiska polskich inżynierów, którzy, pod zwrotnikami, przeżyjając się przez dziewicze lasy, budowali pierwszą koleję i murzynów uczyli polskiego języka, którzy w Brazylii zostawili po sobie legendę o odwadze i niegasnącej wesołości, którzy w Australji zakładali wzorowe fermy.—Szły za nimi żony, które nie lękały się trudów drogi i najstraszliwszej z chorób—żółtej febry. Zapewne! to są wyjątki—i to nie tak rzadkie, jakby się na pozór zdawało.

Korzeniowski pisał dla Anglików—ale kto wie—może głębiej, pełniej, istotniej, niżeli Anglik, zrozumie romantyczny czar jego dzieł człowiek tej samej, co on, rasy, tej samej krwi—Polak.

A jeżeli książki obudzą w sercu polskiem umiłowanie do morza, jeżeli w jednej młodej piersi rozpalą tęsknotę do statku, który kryje w swem wnętrzu rozkołysaną na falach uroczną duszę, co przykuwa, uwodzi i czaruje—to tem lepiej—będzie to błogosławiony skutek jego dzieł.

Będzie to dług, spleciony przez Conrada cieniem jego rodziców, którzy sterali swe życie w służbie dla ojczyzny—którą syn ich porzucił.



# ZRZESZENIE KOBIET W KRAKOWIE

Słysz się często powtarzane zdanie, że kobiety mają zbyt mało ambitnych żądań i pragnień, i że jest to jedna z przyczyn, dla których nie osiągają wyższych stanowisk w życiu.

Przypatrując się zrzeszonej pracy kobiecej, możnaby obok tego zdania postawić inne, że kobiety nie dbają o reklamę dla swojej pracy, i że skromnie kryją ją przed oczami i wiadomością ogółu.

Zapewne skromność jest cnotą, ale cnota, zastosowana nie w miejscu, może stać się wadą. Zrzeszona praca społeczna zali może utrzymać się w cieniu? Z natury tej pracy wszak wynika konieczność jeśli nie rozgłosu, to szerokiego zaznajomienia z nią ogółu, a więc reklamy w dodatkiem znaczeniu tego słowa.

Miałam sposobność przekonać się, że kobiety nie tylko nie dbają o tego rodzaju reklamę, ale że nie zdają sobie sprawy z jej potrzeby.

Aby zdobyć wiadomości o zrzeszeniach kobiecych w Krakowie, ileż trzeba było zużyć czasu i bezowocnych chodzeń, ile sprawdzić mylnych adresów i niedokładnych informacji!

Nikt o nich nie wie, nikt nie słyszał, nikt sobie nie przypomina... Organu swojego nie mają, w codziennych pismach o nich głucho. Jedno tylko istnienie Katolickiego Związku Polek oraz Związku młodych polek nie podlega wątpliwości, bo ogłoszenie o zebraniu lub odczycie u nich można spotkać od czasu do czasu w pismach Krakowskich.

A jednak okazuje się, iż zrzeszeń kobiecych, mniej lub więcej czynnych, jest w Krakowie sporo. Ukryte jednak, przyciszzone, nie publikujące nigdy sprawozdań ze swoich czynności, są publiczności mało albo wcale nie znane. Czyż nie szkoda, że tak jest? I czyż dla nich samych, dla ich działalności nie byłoby pewnego rodzaju ożywym bodźcem informowanie o sobie ogółu, zdawanie sprawy z tego, co i jak robi się, jak rozwija się praca i jakie przynosi konkretne rezultaty? Gdy tego niema, działalność traci na sprężystości, kręcąc się w nieobszernem kole członkiń, nie zawsze chętnych do wyteżonej pracy.

Wśród zrzeszeń kobiecych w Krakowie są takie, które figurują tylko nazwą i żyją tylko tradycją tego, czem może było w przeszłości, są inne, których działalność ogranicza się do wysiłku dwóch, trzech osób zarządu, ale są i takie, które starają się poruszyć niełatwo do poruszenia ogół kobiecy, które swoją pracą przyczyniają się niewątpliwie do uspołecznienia go.

O tych kilku ruchliwych zrzeszeniach kobiecych podaję w niniejszym artykule nieco zebranych szczegółów.

Najstarszem z istniejących jest Stowarzyszenie nauczycielek,

datujące od r. 1873, w którym zawiązało się z liczbą 24 członkiń (10 wspierających, a 14 zwyczajnych). W cztery lata później liczba członkiń wspierających wzrosła do 124, zwyczajnych do 36, a w 15 lat od założenia—jednych do 280, drugich do 150, razem członkiń 430.

W r. 1907, w którym uchwalono zmieniony statut, stowarzyszenie liczy razem 504 członkiń, w r. 1908—593, w 1909-ym — 606.

Jak widzimy, rozwój to niezmiernie powolny, choć stały.

To samo z działalnością i funduszami.

Majątek stowarzyszenia, który w początkach (r. 1877) wynosił w gotówce 5.912 kor. 26 h., oraz w kapitałach przyrzeczonych 2.800 kor., wzrósł do sumy 26.793 kor. 40 hal. w gotówce oraz 1.200 kor. w kapitałach przyrzeczonych.

Co roku odkładono 600 kor. na żelazny fundusz dla nauczycielek.

Biblioteka po szesciu latach istnienia zawierała 1.524 dzieła w 2.200 tomach. W r. 1882 otwarto wypożyczalnię książek dla członkiń. W r. 1888 otwarto bibliotekę dla osób, nie będących członkami, i utworzono sekcję biblioteczną.

Gdy majątek stowarzyszenia wzrósł w r. 1901 do sumy 50.868 kor., nabyto przy ulicy Karmelickiej 36, dom za sumę 96.000 kor. z pomocą pożyczki, zaciągniętej w Krakowskiej Kasie Oszczędności. W tymże roku otrzymano w darze od p. Anieli Małujanki połowę domu w Zakopanem.

W r. 1905 otrzymana kwota 1.532 kor. z daru p. Z. Wołodkowiczowej stała się zawiązkiem funduszu budowy domu dla nauczycielek emerytek. Przystąpiono zaraz do budowy, na którą zaciągnięto pożyczkę. W następnym roku ukończono budowę, a jednocześnie stowarzyszenie przeniosło się z ulicy Krupniczej do własnego domu na ulicy Karmelickiej 36. Urządzono zaraz tam biuro umieszczeń, mieszkania dla nauczycielek przyjezdnych i dom dla stałych mieszkank. Otwarto czytelnicę, rozszerzono i urządzone bibliotekę, złożoną z 5.000 dzieł o 12.000 tomów, i ubezpieczono ją na sumę 24.000 kor.

Od pierwszych lat swego istnienia stowarzyszenie udzielało członkiniom pożyczek, a potem także i zapomóg jednorazowych i stałych.

W r. 1908 wydział ukonstytuował sekcję szkolną pedagogiczną obok sekcji odczytowo-bibliotecznej, sekcji gospodarczej, s. biurowej, s. zebrania i zabaw towarzyskich oraz s. muzycznej.

W r. 1911 wydział podjął sprawę obrony posad dyrektorek i kierowniczek w szkołach ludowych żeńskich pospolitych i wydziałowych, wnosząc

do Rady Szkolnej Krajowej memoriał o zmianę § 123 Regulaminu Szkolnego, czego rezultatem było zamianowanie przez Radę Szkol. Kraj. nauczycielek na stanowiska kierowniczek w kilku miejscowościach. Wysyłano także do sejmu deputację w sprawie obrony praw nauczycielek i niedopuszczenie uchwalenia niższych poborów dla nich, niż dla nauczycieli.

Sprawozdanie biblioteczne za r. 1912 wykazuje rozwój bibliotek: Posiada ona wówczas 1.526 polskich dzieł naukowych, 3.171 beletrycznych, 1.247 dzieł obcych i 780 książek dla młodzieży. Ogółem 6.724 dzieła w 13.926 tomach i 28 czasopism w czytelni.

Przez czas okresu wojennego działalność stowarzyszenia prawie ustała. Liczba członkiń zmniejszyła się.

Obecnie nawiązano już do działalności przedwojennej. Czynne jest biuro umieszczeń, schronisko, hotelik dla przyjezdnych i biblioteka. Tak zwany „dom w ogrodzie”, przeznaczony dla nauczycielek emerytek zamieszkuje osoby wiekowe i spracowane. Złożony z 13 pokoi i jadalni, mieści 14 lokatorów.

Od r. 1904 po dziś dzień przewodniczącą jest p. Joanna Pogonowska. Sekretarką jest obecnie p. Swobodówna.

Katolicki Związek Polek postanowił sobie, jako zadanie, pogłębienie religijności i uświadamianie swoich członkiń w zakresie społeczno-obywatelskich obowiązków. W myśl tę organizuje odczyty, pogadanki i kursy uzupełniających studjów religijnych w Krakowie i na prowincji, gdzie posiada 30 kół (w województwach Krakowskim i Kieleckim). Związane wspólnym statutem, działają one, jako odrębne jednostki prawne.

Odpowiadając potrzebom chwili, Związek utworzył dwie kuchnie dla inteligencji, w których w r. 1922 wydano 378.000 obiadów, w tem 17.591 bezpłatnie, w r. zaś 1923 — 394.884 obiadów, w tem 7.047 bezpłatnie. Prowadził także kuchnie ludowe.

Biuro pośrednictwa pracy udzieliło miejsc 679 osobom.

Szwalnica zatrudniała 50 szwaczek, które w r. 1922 wykonały 17.616 sztuk bielizny, w r. 1923—9.668 sztuk bielizny. Szwalnica prowadzi sklep konfekcji dziecięcej.

Dwa zakłady burs dla młodzieży szkół średnich mieściły 84 chłopców.

Bursa dla seminarzystek mieściła 58 uczenic.

# D O M

## I

Mało jest wyrazów, któreby miały takie bogactwo treści i skojarzenia, co słowo: „dom”. Na jego dźwięk budowniczy myśli o planie budowy, cegłach i wapnie, utrapiony niedolą mieszkaniową sublokator marzy o wygodnym kącie własnym, bezdomny samotnik wspomina ciepło rodzinne i tęskni za ogniskiem domowym, dla ekonomisty jest to pojęcie gospodarcze, dla socjologa—społeczne. Dla każdego ma inne znaczenie, u każdego budzi inne obrazy, inne uczucia, inne zainteresowania—zależnie od przyzwyczajęń, usposobienia, okoliczności.

Z pedagogicznego punktu widzenia jest to kompleks zagadnień, których ważność i znaczenie w rozmaitych czasach i przez rozmaitych ludzi były dorywczo podnoszone—które dotychczas jednak czekają jeszcze na systematyczne, naukowe ujęcie i—co najważniejsze—na praktyczne, stąd wynikające, konsekwencje.

Dom jest podstawowym czynnikiem w procesie rozwoju i wychowania młodego pokolenia. Ktoby tego nie uznawał, ktoby sądził, że można bez współdziałania domu albo wbrew niemu osiągnąć należyte rezultaty wychowawcze—dałby dowód, że żyje w świecie fikcji, że nie zna ani życia, ani młódzieży. Bo wypadki, które pozornie zdawałyby się temu przeczyć, a więc przykłady ludzi, którzy bez odpowiedniego środowiska albo nawet wbrew otoczeniu domowemu osiągnęli wysoki stopień kultury duchowej, lub przeciwnie: złe rezultaty wychowawcze w środowiskach najlepszej jakości—należą bądź co bądź do wyjątków i niczego nie dowodzą.

Znaczenie t. zw. „milieu” zostało należycie docenione nie tylko w literaturze. Nie uznawać tego poglądu, znaczyłoby zresztą zaprzeczać najoczywistszym faktom naszego własnego doświadczenia. Bo jakże inaczej tłumaczyć to, że naogół ludzie, pochodzący z domów inteligentnych, zacnych, kulturalnych, są inteligentni, zacni, kulturalni—podczas gdy ludzie, pochodzący ze środowisk moralnie nisko stojących—mimo wysokiego nieraz wykształcenia—pozostają płytkimi sybarytami pod względem elementarnej uczciwości? Dziś więcej może, niż kiedykolwiek, stwierdzić można doniosłe znaczenie wpływu środowiska na wychowanie młodzieży. Rozprężenie życia rodzinnego, zanik wyższych aspiracji, a nawet obniżenie poziomu etycznego u starszych, gonitwa za zyskiem i użyciem—czyż nie odbijają się fatalnie na wartości moralnej młodzieży?

Cały ten zespół zagadnień wychowawczych, które grupują się około

wyrazu: dom—można podzielić na trzy różne części: 1) okres pierwszy, który nazwałabym okresem „wychowania potencjalnego” albo też krótko: pochodzenie, dziedzictwo, 2) okres wychowania przedszkolnego, 3) okres wychowania szkolnego.

Na ważną rolę domu, jako czynnika pedagogicznego, zwłaszcza w okresie przedszkolnym, zwrócił uwagę, już 300 lat temu, sławny Komeński—a choć od tego czasu i genialny Pestalozzi i Froebel i wielu, wielu innych pedagogów wciąż na nowo sprawę tę podejmowali, de facto niewiele się zmieniło.

Żyjemy w czasach, w których więcej, niż kiedykolwiek, mówi się o sprawach pedagogicznych. Cały szereg poważnych uczonych poświęca swoją pracę wyłącznie badaniom zjawisk psychologiczno-pedagogicznych. Powstają szkoły eksperymentalne przy uniwersytetach (jak np. w Chicago i Lipsku), rozwija się bogata literatura, wychodzi ogromna ilość czasopism fachowych we wszystkich językach, odbywają się międzynarodowe kongresy i, co najważniejsze, powstała już od lat wielka ilość szkół nowego typu, w których mniej lub więcej znajdują zastosowanie nowe teorie i nowe metody.

Jest w tych pracach i dążeniach dużo rozmachu i zapału, jest wielkie umiłowanie nauki i dziecka, a nade wszystko głębokie poczucie odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń. Nigdy jeszcze pedagogja nie przemawiała językiem tak pewnym siebie! Wielka katastrofa wojenna z jednej strony, niespodziewane fiasko na polu moralności z drugiej—wywołać musiały ogromne przerażenie, a w ślad za tem potrzebę rewizji nie tylko układu stosunków międzynarodowych, ale przede wszystkim zasad i metody wychowania publicznego. Do głosu dochodzą pedagodzy i wychowawcy, zewsząd odzywają się na-

woływania do otrzeźwienia i nawrotu ze złej drogi. A jeśli prąd ten okaże się dostatecznie silny i trwały, można będzie kiedyś powiedzieć: niema nic złego, coby na dobre nie wyszło.

Ogromnie charakterystyczne pod tym względem są głosy nauczycieli, zwłaszcza w sympatycznym miesięczniku pedagogicznym „Neue Bahnen”, (wydawany przez Lindemanna i Schulze’go—Dürr’sche Buchhandlung in Leipzig). Uderza tam całkiem nowy ton, przypominający czas owego idealizmu niemieckiego z lat 1812—13, a nade wszystko uderza ta jakaś miła i nieznaną dawniej w nich skromność, która—o ile okaże się szczerą—tak wielkie oddać im może usługi.

Szczególnie ciekawa jest w jednym z ostatnich zeszytów tego czasopisma (maj b. r.) odezwa do nauczycieli ludowych francuskich. Jakże dziwnie konsekwentną jest Nemezis: oto w kilkanaście lat po wypadkach wrześnińskich każe nauczycielom niemieckim przemawiać językiem, którego wtedy absolutnie nie mogli, czy też nie chcieli rozumieć! Tak, tak—niema nic złego, coby na dobre nie wyszło.

Być może kiedyś ludzkość cała błogosławić będzie ciężkie ofiary minionej wojny—nie tylko narody, które dzięki niej, jak my, odzyskały życie i wolność, ale nawet i te, które ona wystawiła, jak Niemcy, na najcięższą próbę. Być może, że po tych smutnych doświadczeniach, ludzkość zda sobie nareszcie sprawę z tego, dokąd właściwie dąży, jakie są cele jednostek i narodów, jakie są ich prawa, jakie obowiązki; w jakim duchu, w jakich zasadach i jaką metodą należy kształcić i wychowywać młode pokolenia. Może nareszcie zrozumieją to wszyscy: rodzice, społeczeństwo i państwa, że sprawa wychowania jest jedną z najważniejszych—i może dopiero na tej właśnie drodze dojdziemy do najbardziej upragnionych celów naszego życia.

Nie stanie się to jednak prędzej, aż do współpracy w dziele wychowania, do współpracy świadomej i systematycznej nie zostanie powołana także opieka domowa. O tem jestem głęboko przekonana. Takie głosy zresztą coraz częściej zewsząd się odzywają—są nawet już robione próby wciągnięcia „Wydziałów Rodzicielskich” do współdziałania w szkołach nowego typu (n. p. w Belgji). Ale trzeba, aby ten dom a przede wszystkim matki, naprawdę dorosły go swego zadania, aby nie tylko zrozumiały swoje obowiązki względem dzieci, ale także fachowo były do nich przygotowane.



WANDA WASILEWSKA

## BAJECZKA, KTÓRA UMARŁA

Bajeczka, która umarła, której już nigdy nie będzie.  
Drżące pod niebem gwiazdzistym wonne, różowe jabłonie.  
Płateczki jasne padają w seledynowe wód tonie,  
Gdzie płyną cicho, jak duchy, labędzie, białe labędzie...

Chodzi po brzegu królewna, królewna w złotej koronie,  
Kwiat czarodziejski paproci błyszczy, jak płomień, na grzędzie,  
Zadumy mgła się rozwiewa po ślicznej, starej legendzie,  
Jakaś się ręka kochana kładzie leciuchno na skronie.

Słów Twoich płynie melodja, jak perły, snuje się w ciszę.  
Jak kwiaty, dźwięki padają, jak kwiatów wiotkie kielichy,  
Na Twoją duszę zmęczoną padają wolno, liłośnie...

Płynie powiaści melodja, słów nawet wcale nie słyszę...  
Głos Twój brzmi zwiewną muzyką, głos Twój kochany i cichy  
Mówi mi bajkę prastarą, cudowną bajkę o wiośnie.

## PANTOFELKI

„Przyjdź, któlewno, przyjdź napewno! — Pantofelki, perłą tkane,  
Na zamczysku dziś wieczorem Z motylowych skrzydeł szaty,  
Król wydaje bal wspaniały, Jak sen jasna, jak sen zwiewna  
Książę będzie z całym dworem“ Na królewskie szła komnaty. A muzyka gra przecudnie,  
Srebrne skrzypce i gitary,  
Krążą pary, a za stołem  
Kryształowe lśnią puhary.

Tańczyła więc królewna, I nie było wcale księcia,  
Wytańczyć szczęście chciała... Bo pojechał na bój wielki,  
— Pantofelki podeptano, Więc płakała rzewnie, patrząc  
Sukienka się potargała... Na zniszczone pantofelki.

## O, DNI MOJE...

O, dni moje, dni moje, piękniejsze od marzeń, Wszystko jest niespodzianką, i wszystko się dzieje,  
W przesłonecznej młodości tonące obłoku! Jakby poczęte w jakimś nadziemskim błękitcie.  
O, przedziwne momenty, gdzie na każdym kroku I widzi się z uśmiechem, że całe to życie  
Czeka sto najcudniejszych, nieczekanych zdarzeń... Jest. jak śliczne, złociste klonowe aleje.

Długie, proste, szerokie, idące bez końca  
W potokach iskier skrzących, radosnych promieni,  
Idące w dzień czarowny wiosełnej jesieni  
W otoczach mgły liljowej na złoty gród słońca.

## PRZED STU LATY

Gdybym była panią z przed wieku  
W białym domku na Nowym gdzieś Świecie,  
Ty ulanem w barwistym mundurze —  
Tobym grała na starym szpinecie  
Z sentymentem zabawną piosenkę,  
Patrząc na Twe wyłogi, rabaty...  
A po niebie płynęłoby słońce,  
Macierzanka pachniała i kwiaty.  
Potem w ziemię spuściłabym oczy,  
Spiękała raka na koncept Twój gładki,  
Wybąkała coś ni to, ni owo,  
Patrząc ze strachem, czy niema gdzie matki.  
Tybys do mnie nachylił się z wdziękiem,

Komplimenty byś prawil, androny...  
Ażby śmiały się grządki rezedy  
I winograd na ganku zielony.  
Wreszcie słówko—bym rzekła nieśmiało,  
Zaploniona szkarłatnym rumieńcem;  
Nagle z za drzew wybiegłaby mama;  
„Tak to panna rozmawia z młodzieńcem“?

Gdybym była przystojną panią  
Przed stu laty na Nowym gdzieś Świecie.  
Tobym grała Ci, piękny ulanie,  
Piosnkę śmieszna na starym szpinecie.

# W COLOSSEUM

(F e l j e t o n)

To było w 1910 roku...

Ach, przed wojną! — to tak, jak gdyby na innej planecie, w poprzednim wcieleniu!...

Wrześniowe słońce kładło swoją melancholijną słodycz na „wieczne miasto” — Roma aeterna; po jakimś sztucznym terenie zrujnowanym — z jakichś nasypów, w jakieś rozpadliny ześlizgiwałam się lekko i szłam ku niemu — po trawie niskiej, a gęstej, takiej, jaka porasta ugory.

Sam jeden przede mną, coraz bliższy rysował się, coraz wyraźniej, zajmując coraz więcej miejsca w przestrzeni, potworny rondel Colosseum — wyszczerbiony u góry — zbakierowany przez tysiączne reprodukcje... Ale żadna z tych linearnych podobizn nie daje pojęcia, czym jest rzeczywistość — tak fascynująca demonizmem!

Komuż ten kształt nie jest dobrze znajomy od dzieciństwa? — popularyzowany przez tysiączne reprodukcje... Ale żadna z tych linearnych podobizn nie daje pojęcia, czym jest rzeczywistość — tak fascynująca demonizmem!

Jakiś zły duch zataił się w tych ruinach i wyczekuje... „Ja jeszcze wrócę”, gwiżdże wiatr szydyczko, przelatując piętra. Jakiś zimny cień przepelguje od arkady do arkady w potrójnym ich pierścieniu na dole i za nogi chwyta...

„Skupiaj się!... skupiaj się!” nakazywała sobie dusza: Na tem miejscu odprawia się nieustająca msza Wielkich Wspomnień. — Każdy wielki duch choć raz w życiu przywędrował tutaj wziąć w niej udział: Oni tu wszyscy byli — a cień każdego, odbity w zwierciadle przestrzeni, co obraz w sobie utrwała, zostaje tu na zawsze... Chwila jest wielka: cień twój otrze się o wszystkie wielkie cienie.

Otwórz wewnętrzne oczy! Może zobaczysz Mickiewicza, improwizującego przy księżycu? — może idealną sylwetę Słowackiego, przemycającą się pomiędzy arkadami pierwszego piętra lub dumny profil Krasińskiego, wsparty na rękę?... Czy może przejdzie koło ciebie Byron z zuchwałstwem i ironją na wiecznie młodem czole? czy olimpijski uśmiech Goethego. Może ucho czułe podchwyci melodię, na którą przetransponowało się w duszy Szopena to miejsce tragiczne? — albo płacz serafickiej harfy Lamartina!...

Czy może spotkasz gorzkiego Danta z laurem na głowie, śmiertelnie znudzonej od wrażeń nadludzkich!...

O, jakże życie podobnym jest do Szekspira! Gdy patos osiągnął najwyższe napięcie twej struny — jest to chwila, kiedy na scenę wchodzi błazen!

Na środku areny, wymoszczonej miłąkłym żwirem w dobrodusznym porannym słońcu uwijała się, jak muchy w ukropie, gromadka bardzo malarska ze względu na wyraz i kolor...

Centrem jej był najautentyczniejszy w świecie ruski pop, opędzający się całej zgrai cicerone, jak wspaniały, siwy niedźwiedź, który, wypłoszony z puszczy, ugania się z zajądłą sforą ogarów. Musiał to być jakiś dygnitarz kościelny: rasę miał na sobie z ciężkiej materji, garusowego koloru, która to barwa jest, zdaje się, w szczególnych łaskach u wschodniego duchowieństwa. Masywny złoty krzyż połyskiwał mu na piersiach na grubym złotym łańcuchu.

Machinalnie popchnięta tem poczuciem solidarności ludzkiej, które często przechodzi już w instykt, wsuwam się w ten rój rozjątrzony, a odgadując, że ksiądz nie może się z nimi porozumieć w żadnym innym języku, odzywam się w jego ojczyściej mowie...

Mówią do niego po rosyjsku?!... czy mu się nie śni?!... mocny Boże! — aż zachwiał się na nogach ze wzruszenia i zwrócił ku mnie twarz rozczulonej hjeny... Uśmiech bezbrzeżnego „umilenja” szeroko otworzył usta i z siwych kłapciów zarostu wydobyły na świat niewiarogodnej długości żółte zęby... Złe czarne oczy Włochów we mnie skierowały teraz wszystkie swe sztylety, zastrzone widokiem tyłu złota na wierzchu... Kombinuję, że pośrednictwo nie będzie łatwym: żądają po pięć lirów na każdego za ciceronowanie i grożą wezwaniem carabinieri — a ksiądz twardo stoi przytem, że nic nie da, bo o nic nikogo nie prosił...

Byłam jeszcze wtedy takim wesołym kpiarzem, który czyha tylko na okazję: robię twarz i gesta najwyższego przerażenia i krzyczę do nich w łamanej francusko-włoskiej mowie: „Czyście powarjowali, signori?... drażnić una tale creatura!!! Słyszeliście co o Syberji? — bene! — no, to tam, na samym końcu, gdzie już nic niema, tylko śnieg i noc... żyją dziwne stworzenia... una specie di homo e di bestia: pół niedźwiedź, pół człowiek... Czasem ma to już całkiem ludzką figurę... magari! ale niedźwiedź siedzi dentro! Widzieliście zęby?! — sono belli! — he?... Capnie sobie u którego piękny kawał na bęsztyk... a jak się weźmie do gardła — to będzie kaput! — i carabinieri nie pomogą!”

Grzmot śmiechu i oklasków zagłuszył dalsze słowa. Dowcip zaimponował tym, co z dowcipu żyją. „Bravo, Signora, bravissimo” ryczeli poprostu, podrzucając kapelusze. Jeden tylko, który z rezerwą się trzymał, na stronie, kręcąc znacząco głową, rzekł do mnie poufnie: „Signora, lei ha l'ingegno, talent Signora!.. żeby tak w jeden moment wyssać z palca całą historję?!... Signora mogłaby stać się pierwszym w Rzymie cicerone!... Ale to tak jest zawsze: kto ma talent, ten musi go zmarnować”.

I zadowolniejszy się jednym lirem na wszystkich, cała banda pierzchnęła, jak stado szpaków.

Ale pop — ku najwyższemu memu zirytowaniu — pozostał!

Robiło się teraz oczywistem, że uchwycił się mnie, jak pijany, i że wyrwać mu się będzie nie łatwo!

Nie pierwszy to już raz wpakowywała mię w awanturę moja niepoprawna dobroduszość do spółki z mojem niepoprawnym kpiarstwem...

Nic a nic sobie nie robiąc z mocno zaakcentowanego pożegnania, rozsiadł się najspokojniej obok mnie na kamieniu. Słońce mu dokuczało, pot kropliście spływał po twarzy, ja wyglądałam, jak sama arogancja — on niezrażony niczem gadał...

„Ja tutaj przyjechałem — pazwoltie wam dałażyt’ — z najdalszych kresów naszej światoj matuszki Rasiei jewropiejskiej, z nad granic samego Uralu! Jechałem pięć dni i pięć nocy — po to tylko, aby na tem miejscu z sercem skruszonym i pokorą wielką pokłanił’sia męczenniczeskiej krawi, która w tę ziemię (postukał w żwir laską)“...

Dwoma palcami lekko pociągnęłam go za szeroki rękaw rasy, aby przerwać potok wymowy:

„Ech, batiuszka, nie nada było etowo diełať...” nie nada!

„Kak tak: nie nada?!...” obruszył się, niemile zaskoczony...

„Da tak, szto nie nada — jej Bohu — wy dziełali lisznije... Poco to było wydawać tyle pieniędzy?!... jechać tyli świat drogi?!... tak długo tłuc stare kości?!... Wasza Wielebność miała przecież pod bokiem Warszawę. Do Warszawy trzeba wam było jechać, batiuszka, — i tam z sercem bardzo skruszonym, głowę posypawszy popiołem, pakiłanił’sia męczenniczeskiej krawi, której tam tyle przelało się... i przelewa”...

„Jechidnyj Palak!” powtórzył kilkakrotnie, uciekając ode mnie szybko — aż szumiała na nim droga materja i wiały powietrzem szerokie rękawy... Ale zanim przebiegł w po-

przek arenę, kilka razy obrócił się ku mnie i, jeszcze ukryty pod arkadą, stał i patrzył długo... jak gdyby chciał dobrze wbić sobie w pamięć moje rysy...

nie zmienił nic w ich formie i życiu... Chyba pracująca, a nieustająca ewolucja ziółka dodała jego nasieniu jego puszek, więcej pomagający mu ulecieć z wiatrem szybciej i zasiać się dalej...

O, Roma! Roma!—ty, któraś umiała prowadzić królów zwyciężonych bosko i z powrozem na szyi za rydwaniem swoich triumfatorów—której cesarzom pół świata oddawało cześć boską, po tobie nie został się żaden ślad żywy... Językiem twoim nie szczebioczą dzieci, nie odzywa się nim ani słowicze gardło Miłości, ani spiżowy Czyn, ani Kryształ i srebro poety. Oszlifowany kunsztownie, jak najdroższy brylant, język ten jest klejnotem mumji, zamknięty z niemi w grobie.

Nawet ziemię twoją zamieszkuje nie lud, któryby ci był synem, ale daleki krewniak, w którego żyłach płynie twojej krwi zaledwie kilka kropel. Twoja wielkość jest to fikcja, zaczarowana w starych foljach, po których nocą harcuje myszy...

To ziółko było potężniejsze od mocarstwa twojego, Roma!... Ta muszka była większą od twoich cesarzów...

Naturalne dzieci tej ziemi, one jedne są na niej prawymi gospodarzami po wieczne czasy...

I znowu błyskawica ciemności (jak w kinematografie) — i obraz Colosseum znów się odmienił: Zaludniły go teraz tłumy współczesne. W łożu imperatorskiej ukazało się gigantyczne



widmo kobiety. Niezliczone sznurki pereł zamykały jej szyję w jakąś wysoką, sztywną pochwę. Ramiona opinał gronostaj, zamknięty na piersiach dwugłowym orłem z granatów tak ciemnych, jak krew poczerniała. Na głowie siedział olbrzymi kokosznik z brylantów i pereł.

I ciebie ten sam los spotka—zginiesz Rosjo i ty!

Zginiesz! zginiesz!... tak samo, jak Rzym—ty, która, jak On, zagrabiłaś dla siebie pół świata! — jak On, pyszna i okrutna—jak On, ręce masz zbroczone krwią niewinnych—jak on, masz zwyczaj krzyżować aniołów! Sztuczna twa wielkość jest, jak pęcherz wzdęty, który im większy, tem katastrofa bliższa. Zgubi cię własny twój ogrom, który wzdłuż szwów się rozpadnie... I nie pozostanie po niej na świecie nic—nawet takich, jak te, ruin sławnych. Carowie twoi zostaną zmiecieni z powierzchni świata wichrem dziejowym w jedną noc, jak żółte liście. A ludy, które ciemiejesz, będą żyć i rozwijać się po nieskończoność! Naturalne dzieci swojej ziemi ludy są nieśmiertelne!

Choć może upłynie jeszcze sto lat, zanim powstaną ci jacyś nowi barbarzyńcy i zaczną młotami swymi rozbijać na kawałki kolos twój zło-wrogi?..!

I choć oczy żywe tego nie zobaczą!..

A Duch Czasu potrzebował już na to tylko czterech lat...

I oczy zobaczyły!

Marya Grossek-Korycka

Na opróżnionem obok mnie kamieniu siadło Marzenie i podniosło do góry swoją pałeczkę maga... Błyskawica ciemności (jak w kinematografie) i obraz Colosseum się odmienił: zadrapowały się puste arkady purpurą i złotogłowiem — zasiadły w nich Westalki i Patrycjuszki w białych sukniach ze szkarłatnem obramowaniem—zamigotały brylantami, jak niebo nocne... W łożu imperatorskiej ukazało się, uwieńczone różami, widmo Cezara...

O, Roma! Roma! twoja dłoń światowładna nie zruszy już dziś z miejsca jednego ziarna piasku. Upiorem jesteś, który fantazja wywołuje z grobu...

A oto przy stopach moich drży niedostrzegalnie na ciepłym wiatku jakieś ziółko liche z żółtym kwiatkiem na czubku badyla... ono kwitło w ogrodach Heljogabalala...

Tęgopokrywa muszka czerwona w czarne kropki, gramoli się mozolnie wzwyż po ździeble... ona siadała nieraz na welonie Westalki!... To ziółko i ta muszka pod panowaniem Nerona i Cezara, za czasów największej potęgi Rzymu i w dni jego upadku takie same były, jak dzisiaj.— Pokolenie nam współczesne, żyjące tu na gruzach Rzymu, na tym samym kawałku ziemi miało swoich odległych antenatów wtedy, gdy Rzym jeszcze nie istniał. Żaden kataklizm dziejowy:

GRAZIA DELEDDA

## SENTYMENTALNA NOWELKA

Przeł. z włoskiego P. D.

Dlaczego pozbawił się snu, jedynej radości, jakiej mu los użyczył, ażeby czuć nad grobem owych ludzi żywych, którzy mu nie złego nie uczynili? A kto to wiedział? Była to ta sama siła nielogiczna i potworna, która mu kazała żyć bez miłości i bez cierpienia i spędzać dni, podobne do fal morskich, które się bez potrzeby rozbijały o rafę losu.

Rybak pchnął swoją łódź daleko za rafę i nastała ciemność, przerywana jedynie jasnością latarni i odległymi odbłaskami.

Serafin był śpiący; smutne myśli kołowały go dziwnie, jednakowo, zawsze jednakowo, monotownie i sennie, jak szum fal, przypominały mu się wiersze samobójczynie genueńskiej i powtarzał je sobie wraz z motywem z „Lunaticy”.

Wiersze owe były, jak gdyby umyślnie dla niego stworzone. Motyw łatwy i słodki przywodził na pamięć owe pieśni, które kołysały pierwsze jego studenckie sny. Noc była gwiazdzista i cicha, ale już nie było pogodnych snów. Jeden tylko sen panował w jego wyobraźni. Sen o śmierci. Ona była oczekiwaną towarzyszką i nieraz czuł jej obecność i tej nocy zdawało mu się, że coś łagodnego przeszło nagle powietrze: nie podmuch wiatru, nie zapach, nie melodja, ale coś bardziej przejmującego, słodkiego. Była to jakaś tajemnicza pieśczoła; jej duch, który przeszedł, musnął go ubraniem czarnym, aksamitnym, pieścąc rękami puchowemi...

— Pewnie umarł skazaniec—pomyślał.

— Tak, pamiętam, kiedy przed rokiem umarła moja matka, zdawało mi się, że dwie ręce niewidzialne, lekkie, jak piórka, musnęły mnie po twarzy.

Przechadzał się zwolna od końca przepaści ku ulicy. Sen go brał. Była chwila, że nie mógł już chodzić i usiadł zmęczony na występie rafy nad przepaścią. Położył broń na kolanach i miał wrażenie, że niewidzialna ręka zamyka mu oczy, przez chwilę zamkniętymi oczami widział, ale jakby przez welon czarowny: morze bez koloru, światła żółte na czarnym brzegu, gwiazdy, jasność latarni morskiej, a pod sobą słyszał oddech żalony fal, i zdawało mu się, że wyspa to olbrzymia mandolina, przewrócona do góry na falach, a struny jej drgają w otchłani morskiej z jękiem niewymownego bólu.

— Spać! Spać! — Nigdy tak, jak w tej chwili, nie odczuwał męki niezaspokojonego snu. Zdawało mu się, że słyszy szybkie kroki, i myślał o skazańcu konającym, może już nieżyjącym: ten przynajmniej zasnął na dobre! Znał go, pilnował go nieraz, gdy skazańcy brukowali ulicę, był to mularz z Romanji, jeden z najłagodniejszych typów więzienia: wysoki, chudy, zgarbiony, z słodką twarzą starca i dwojgiem oczu małych, żółtych, uśmiechniętych.

\* \* \*

A jednak... Jednak zdawało mu się, że słyszy szmer tajemniczych kroków. Otworzył oczy, drgnął. Głębokie milczenie. Przypomniał mu się opowiadania o zbiegłych skazańcach. Przed kilku miesiącami pięciu skazańców, wśród nich siedemdziesięcioletni starzec, zbiegli z bajeczną chyżością, skorzystawszy właśnie z łódki poławiacza ostryg; ale, wydostawszy się na przeciwległy brzeg, nie umieli się ukryć, błądząc przez osiem dni po uczęszczanych nazbyt wzgórzach; tam ich schwyciono, jak dzikie zwierzęta, pojmano i przygwoźdzono na nowo. Biedne łupy sępów na wierzchołku karnej wyspy.

\* \* \*

Przywidzenie czy rzeczywistość. Śpieszny krok. Bez wątplenia człowiek schodzi, pełzając wzdłuż muru za ulicą. Serafin instynktownie podniósł broń. Kamyk obsunął się z muru na ulicę, nie było wątpliwości.

— Kto tam?

Głos jego drżał dziwnie jasno i metalicznie; potem na długi czas wszystko ucichło znowu.

Myślał, że się jednakże omylił, gdy nagle człowiek jakiś skoczył z muru i mknął ulicą.

— Kto tam?

Jakkolwiek przygotowany na wszystko — drgnął od stóp do głowy.

— Cicho... — szepnął człowiek, zbliżając się zuchwale.

W ciemności nocy widać było jego ramiona, wyciągnięte na znak obrony i błagania. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy fuzja żołnierza dotknęła ręki.

Przechodząc ze strachu do zdumienia, Serafin poznał w zbiegu skazańca romańskiego.

— Stań, albo zabiję!

Skazaniec skulił się, ukląkł, zawsze z rękami, wyciągniętymi na znak błagania i instynktownej obrony.

— Dokąd idziesz? — krzyknął Serafin.

— Nie krzyczcie tak — błagał skazaniec głosem pokornym, ale pewnym. — Zwiążcie mi ręce, ale nie krzyczcie. Jesteście chrześcijaninem i musicie znać przykazanie: nie zabijaj! Jestem stary i możecie mnie związać.

— Milczeć! — krzyknął jeszcze tamten, nadając sobie wygląd straszny. — Powiedz, dokąd zamierzałeś pójść!

— Chciałem uciec — odrzekł stary prosto, opuszczając ręce. A spostrzegłszy, bez wątpienia, że żołnierz, mimo swych pozorów strasznych, był „chrześcijaninem” — ośmielił się dorzucić:

— Pozwólcie mi pójść, nikt się nie spostrzeże, że przeszedłem tędy!

— Milcz, bo wypalę. Zaraz wszczynam alarm.

Nastąpiła scena nagła i wzruszająca. Człowiek zgiał jeszcze bardziej ramiona, padł na kolana i schronił się między nogi Serafina, szukając jakoby u niego obrony przeciwko tamtemu, którzy mogą nadejść lada chwila.

— Nie, synu drogi człowieku, nie wzywaj... nie... nie... — bełkotał.

Potem, widząc, że Serafin go słucha, ośmielił się podnieść cokolwiek i przyciągnął jego ręce jedną po drugiej.

— Zwiążcie mnie, zwiążcie! — błagał — ale nie wołajcie. Udałem chorobę, by uciec. Od dwudziestu lat czeka na mnie starowina, moja żona. Obecnie doniosła mi, że jest chora, bardzo chora, ale umarłaby spokojnie, gdyby mnie raz jeszcze zobaczyć mogła. Odpisałem jej, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by ją zadowolnić i sprawić tę radość, ja, który przez całe życie sprawiałem jej tylko cierpienia. Czeka na mnie teraz; muszę dotrzymać słowa, inaczej umrze zrozpaczona. Co zrobię, jeżeli nie zlitujesz się nademną? Człowieku! miej litość nad staruszką konającą, która tyle wycierpiała. Gdyby Wasz ojciec był na mojem miejscu, przed moim synem żołnierzem? Cobyście powiedzieli? Dajcie mi pójść; jesteśmy wszyscy braćmi na świecie; kto wie, czy jeszcze kiedy w życiu i ja się Wam będę mógł przydać? O! — dodał ożywiony, ufny w milczenie Serafina, czołgając się ku rafie — ja zejść tędy; skała nie zostawi śladów. Wyście nie widzieli nic absolutnie, i... Bóg Was wynagrodzi.

Serafinowi zdało się, że śni. Chciałby wszcząć alarm, związać człowieka, uczynić to, co jego przełożeni nazywali „obowiązkiem”, ale nie mógł. Siła jakaś tajemna, jak w snach, nie dała mu się ruszyć. Szept gorący i błagalny skazańca wywołał uczucie głębokiej litości i jakby rodzaj podziwu dla tej starej istoty, która z głębi swej nędzy tak dbała o życie, tyle miała wiary i zapału.

Nie zastanawiając się, czy jego życie warte więcej nad życie skazańca, pomyślał, że może nadeszła jego godzina. Śmierć jego mogła być poczytana za hołd obowiązkowi; nie, nie należało ominąć takiej sposobności.

— Idź sobie — szepnął.

Postawił fuzję i uderzył nią o ziemię.

Człowiek, milcząc, ucałował jego kolana, oparł rękę na ziemi i podniósł się z jękiem. Wyprostowany, czarny w ciemnościach, szepnął błogosławieństwo:

— Synu mój, będziesz bogaty i szczęśliwy, bogactwo twoje równać się będzie twojej szlachetności.

Przez oczy, zamglone łzami, widział Serafin, jak długa postać spuszczała się po krawędzi skały; usłyszał spadanie kamyków na dole. Potem jęklivy śpiew fal znów przerwał monotonną ciszę nocy.

\* \* \*

— Bogaty i szczęśliwy — pomyślał Serafin — Przeciwnie, nikt nie będzie nigdy równie nieszczęśliwy, jak ja. Nie wiedział, dlaczego w tej chwili przełomowej, zamiast wspomnieć o czemś ważnym — pomyślał z goryczą, — że nigdy nie zjadł nic dobrego, chyba jakąś ostrygę, znaną nad morzem, potem napłynęły inne, powszednie wspomnienia; starania usilne, by jak najbardziej oszczędzić buty, długie i daremne pragnienie czarnego ubrania, ofiary względnie duże na odłożenie pieniędzy na trykot zimowy! Nędzna nad nędze! Wszystko było stare, zużyte, liche; nawet i dusza jego skurczyła się i wypełzła, jak stare ubranie. Ale teraz wszystko się skończyło. Skończona walka z losem, któremu wydał dwie naraz ofiary, siebie samego i starego skazańca. Nie sądził, że ów oszukał go zmyśloną opowieścią. Widział w tej chwili tylko postać błogosławiącą i czuł w głębi duszy nieskończoną litość nad sobą i podobnymi do niego nieszczęśliwcami. Wydali mu się wszyscy podobni do owych skazańców, wygnanych na samotną wyspę, z której nadaremnie się patrzyło na jasny horyzont i błękit ziem czarownych, niedostępnych; skazańców, strzeżonych przez straż nieświadomą, głupią i okrutną. Czemu nie opuścić tego przybytku cierpienia! Chwila była odpowiednia.

Postawił karabin na ziemi i oparł gardło o zimną lufę.

Oto chwila ostatnia. — Żegnaj! — Umiera bez miłości, bez nadziei, bez wiary, tylko z tajonem uczuciem litości w sercu. Nikt po nim nie zapłacze; on tylko umiera, oplakując tych wszystkich, których nikt oplakiwać nie będzie.

Wszystko milczy i jest nieruchome dokoła, nie widzi już światła gwiazd, ani nie słyszy głosu morza. Wielki płaszcz śmierci, czarny, aksamitny pokrywa i zaciemnia wszystko.

— Żegnaj! — Lecz w tej chwili, gdy ma pociągnąć za cyngiel, broń chwycie się i pada na ziemię z hałasem.

\* \* \*



## D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

— A Polska?...—przerwała Wanda.

— Cóż to jest Polska?... wyrażenie etnograficzne... przeżytek... błąd w myśleniu! Nie macie sobie, towarzyszek, jasnej koncepcji socjalizmu kwestjami narodowemi!

I zwracając się do obecnych, rzucił wyzywająco.

— Czyż my tu wiemy co o Polsce, towarzysze?

— Nic, nic!—ozwały się głosy— jesteśmy socjaliści międzynarodowi...

— Widzicie, towarzyszek, niema Polski, jest ludzkość, a w niej solidarność proletariatu: bratem jest mi robotnikniemiecki czy rosyjski, czy chiński, — wrogiem pan polski, bourgeois.. wrogiem każdy, kto z lamusa rupieci dobywa zwierzały wyraz: ojczyzna...

Wanda pobladła bardziej jeszcze, czoło jej między brwiami ułożyło się w groźne zmarszczki, podniosła w górę ramię, jakby groziła, i z tem podniesionem ramieniem, pochylona ku mówcy, znieruchomiała...

Zrobiła się cisza — zamilkł agitator...

Dziewczyna stała wciąż, grożąc podniesioną w górę dłonią... a miała wyraz twarzy tak dziwny... tak sztywny, groźny i obłąkany zarazem, że po chwili zaniepokojeni podeszli do niej i chcieli to podniesione jej ramię ściągnąć w dół... Nie dało się... Gdy dotknęli, sztywne było, i cała postać dziewczyny wydawała się, niby skamieniała w bezruchu i groźbie.

Oslupieli.

Po chwili dopiero, któryś z wydziału medycznego rzucił wyraz: katalapsja! Drugi powolnemi pociągnięciami ręki rozcierać począł ramię Wandy, aż po paru minutach rozprężyło się i opadło... Ciężkie westchnienie wyrwało się jednocześnie z piersi dziewczyny, pochylała się w tył... Młody medyk pochwyił ją i lekką, jak piórko, poniósł do sąsiedniego pokoju, gdzie zajęła się nią, powracająca właśnie z lekcji, panna Anna.

Studenci rozchodzili się, zwarzeni.

— Djabli nadali z histeryczkami! — mrucał młodzieniec o semickim typie — Popsuła nam zebranie. A swoją drogą, wspaniały w niej materiał na agitatorkę! Gdybym to ja umiał takie sztuki!... — żartował.

Pewnego wieczoru, gdy już Wanda całkiem przyszła do siebie, kazała jej panna Anna opowiedzieć sobie zdarzenia tych lat paru. Skrytej dziewczynie trudno było mówić o ostatnich, zwłaszcza, przeżyciach w Gostkowie, ale panna Anna była na tym właśnie punkcie nieustępna. Chciała wiedzieć wszystko, dokładnie, by sprawnie osądzić.

— Dobrze zrobiłaś, że wyjechałaś stamtąd — powiedziała w końcu — ale dlaczego nie przyszłaś od razu do mnie? Cóżes ty chciała robić w Warszawie?

— Ja jechałam z zamiarem udania się do pani, bo przecież tylko panią tu znam, ale nie mogłam pani znaleźć. Byłam na tamtem mieszkaniu i powiedziano mi, że osoba tego nazwiska nigdy tam nie mieszkała i że nic nie wiesz.

— Ach, prawda, przeprowadziłam się i nie posłałam ci nowego adresu, a ty, prowincjonalistko, nie umiałaś sobie dać rady. Musiał cię ten pierwszy zawód bardzo zakłopotać i przygnębić.

— Dwa dni i dwie noce chodziłam po Warszawie, nocowałam na ławkach, wydałam wszystkie pieniądze, gdy pani zjawiła się sama, jakby panią duch jaki przyprowadził...

— Proszę cię, daj pokój tym niedorzecznościom. Zostaniesz u mnie aż do chwili, gdy zdasz egzamin na nauczycielkę i będziesz mogła sama pracować na siebie.

— Ale ja już teraz chcę pracować na siebie. Ja umiem pracować, zapewniam panią!

— No, wyszukam ci jaką lekcję, żebyś miała trochę własnych pieniędzy, ale mieszkanie i życie masz u mnie, nie świetne, co prawda, jedno i drugie, ale trudno... I ucz się, ucz się! Ja sama przygotowuję cię do egzaminu. Za dwa lata powinnaś zdać, musisz mieć patent w rękę.

Wanda całowała ręce panny Anny, która powtarzała wciąż:

— Tylko się ucz! ucz się!

I wzięła się do nauki marzycielka. Odegnęła najcudniejsze mary i wszystkie tęsknoty za pól zielenią, za muzyką wicherów w wiosennym borze; widziadłom ukochanym powiedziała: do widzenia! kiedyś!..

Po dwu latach zdała egzamin nauczycielski i, dzięki stosunkom panny Anny, dostała zaraz posadę nauczycielki u państwa Lipowieckich w Ostrołęce.

## ROZDZIAŁ X.

## NAD NARWIĄ

Na zachodniej stronie nieba krwawa gorzała luna.

Burza odeszła właśnie z głuchym porykiem gromów, ale jeszcze kłębiły się chmurzyska czarne, groźne, poszarpane dziwacznie i krwawem słońcem zachodu w purpurowe plamy usiane. Szafirowa Narew dygotała jeszcze dreszczem niedawnej wichry, co z szarpała jej łono wodne, więc

z gniewnym pogwarem biegła wśród zielonych, wiosennych pól.

Na moście przystanęło ludzi kilkoro, wpatrzonych w jaskrawe zjawiska zachodu.

Był tam chłop w kierpcach lipowych z koszałką na ręku, szlachcianka z młodziutką córką, wracająca z miasta do domu; był dziadek prozalny, obwieszony sakwami, i młody żydek w długim po pięty chałacie, i zamorusanych dzieci parka, chlapiących się bosem nogami w deszczowej wodzie.

Wandę droga od Lipowieckich na plebanję wiodła przez most.

Przystanęła i ona, porwana wichurą złota, purpury i czarnego błękitu obłoków, co szalała po niebie w niezwykłym zestawieniu. Burza pozostawiła po sobie ostrą woń, niby spalonego prochu.

W powietrzu czuć bitwę... Jak dziwnie... W tej chwili słońce przebiło się przez chmury i tysiącem złotych lanc sypnęło na świat. U każdej lancy migotał strzępek purpury, niby chorągiewka pomarłych dawno rycerzy.

I o dziwo! z czarnych chmur ukazało się na niebie coś, niby wojowników baśniowe kształty, niby kadłuby rumaków, majak obłoczny.

— A patrzajta że, ludzie moi, dyć to wojsko występuje z chmur! — ozwał się drżący głos dziada.

— A wojsko, nie co insze!

— Będzie wojna, czy co?

— Pan Bóg znaki daje.

Gromada rosła.

Wtem po prawej stronie widnokręgu rozdarły się chmury i jakoby przeciw pierwszemu hufcowi stanął drugi... i szły przeciw sobie...

— Bitwa! Bitwa na niebie! Ludzie chodźcie i patrzcie! — wołał ktoś. Poczynano się zbiegowisko.

— Bo też tu i była przed laty bitwa. Na tym moście krew polska lała się rzeką czerwoną i odbijała na chmurach. Było to 26 maja 1831 roku, tu... pod Ostrołęką... dowodził generał Skrzynecki... tu przegrana batalja.

— Wiem ci, panno, wiem, bom w niej był...

Dziad wyprostował się, urósł ludziom w oczach: splakane źrenice błysnęły promieniem dumy.

Wanda chwyciła go za ramię.

— Patrz, widzisz? — mówiła głuchym, głębokim tonem — to konnica nasza leci do szarzy... na drodze jej bagniska... topi się w błocie... Już, już po niej!

Czarne chmury skłębiły się w tej chwili i przywały sobą złociste postaci rycerzy.

— Patrz! tam! tam! To Bem za jeżdza z armatami. Ogień!.. Dym!...

Po niebie przewalały się obłoki, niby potwory, toczące śmiertelny bój. Coraz ludniej było na moście, a cicho, że każde słowo Wandy słyszane było w tym tłumie.

Dziad patrzył, słuchał i płakał. — Piechota nasza uderza na most. Moskale walą do niej z dział — pułk za pułkiem idzie w ogień, na śmierć! Patrzcie! — krzyknęła nagle — to Skrzynecki sam, w gradzie kuli!...

Przez tłum przeleciał dreszcz zimny. Po chmurach szła postać ludzka, wielka, tumanami przesłaniana...

— Cud! Cud!

Ozwały się płacze... Żydek, odpychany, czepiał się sukien Wandy i oczy, pełne marzeń, w pijał w jej oczy.

— Czy pomnisz, dziadziu, jakieś szedł obok generała, a on krzyczał: „Jeszcze Polska nie zginęła!” i posyłał was na pewną śmierć?...

— Pomnisz, kule świszczały ci koło uszu, trup padał gęsto dokoła... on wyrwał ci karabin z ręki i prowadził... a ty przy nim... Runęły na was pułki piechoty. ...Słyszysz, jak on woła: Rybicki naprzód! Małachowski naprzód! Wszyscy naprzód!

... Ktoś podał ci karabin. Zwarłeś się z nieprzyjacielem, bagnet twój

pchasz w ciało wroga! Śmierć im! Po trupach idziesz dalej! Cofają się przed wami, bo na bagnietach waszych jest Polski całej rozpacz i wstyd...

... Patrz, tam na chmurach ty idziesz znowu, jak w ów dzień... tam jest napisana historia bitwy... Idziesz w ogień i dym armatni za Polskę. Sypnęli na was granatami! Błysk, huk piekielny... wtedy urwało ci rękę, padłeś, a po ciebie twoim idą naprzód... słyszysz, jak woła: „Jeszcze Polska nie zginęła!” Już nic nie wiesz. Noc czarna w tobie i nad tobą.

W tłumie ludzkim słycać było głuche łkania. Kobiety padały na kolana, płacząc głośno, wpatrzone w złotą wizję słoneczną, wsłuchane w urywaną mowę nieznajomej.

Potężna hypnoza zawładnęła tłumem. Cud działał się na niebie czy w duszach ludzkich?

Wanda na chwilę przymknęła oczy; zrobiło się cicho i w tej ciszy zdrzął głos dziada:

— Wszystko prawda!.. jako na sądzie ostatecznym, ...ale skądże ty to wiesz, panno, ty taka młoda! O, Matko Najświętsza!

I, ukłękawszy, mówić począł:

— Pod Twoją obronę...

— Uciekamy się Święta Boża Rodzicielko... — podjął tłum.

Wszystkie kolana wbiły się w mokłą ziemię, wszystkie głowy w porcorze pochyliły przed cudem...

...Skąd ona wie?

Z głębi jakiejś, z otchłani to wstało...

Ręką przysłoniła oczy, zawstydzona w sobie, i przycichła.

Już też i na niebie ustawały gorące światłości. Szarzał ocean złota i purpury, ciemniały, bladły obłoczne widziadła, aż potem znów rozlało się po horyzoncie jednostajne, wielkie morze czerwieni...

Wanda spojrzała po tłumie i wydało jej się, że nie ludzki to tłum... Ujrzała wyraźnie, jak białymi skrzydłymi bije w powietrzu gołębi cichych stado...

I zadygotało jej łono wielką miłością do tego ludu gołębiich dusz, co zleciały ku niej na ziarno wspomnień ojczystych...

— Pani nasza! Orędowniczko nasza! — modliły się gołębie białe pod czerwienią krwawych, wieczornych źórz.

W chór modlitwy wpadł nagle brzęk ostróg i głośne stąpanie woj-skowych butów.

(c. d. n.)

VICENTE BLASCO IBANEZ

Przekład z hiszpańskiego. r. c.

## STARUSZKA Z KINEMATOGRAFU

Komisarz policji spojrzał surowo na siwowłosą kobietę, która usiadła przy jego biurku, mimo że jej wcale do tego nie zachęcił. Potem pochylił głowę, aby przeczytać papier, podany mu przez policjanta, wyprostowanego obok jego fotela.

— Awantura w kinematografie! oburzył się, nie przestając czytać; obraza władzy... zamach na policjanta... Co pani ma na swoje usprawiedliwienie?

Staruszka, wpatrzona do tej chwili w komisarza i w policjanta i wcale ich może nie widząca, drgnęła, jak gdyby obudzona ze snu.

— Panie komisarzu, sprzedaję codziennie z rana warzywa przy ulicy Lepic. Nie mam straganu, tylko wózek. Znają mnie wszyscy w całej dzielnicy. Od czterdziestu lat już jestem tam co rano z moim wózkiem.

Komisarz chciał przerwać jej, ale stara obruszyła się.

— Trudno, jeśli pan komisarz nie pozwoli mi mówić... Każdy tłumaczy się, jak potrafi, jak umie...

Komisarz oparł się o poręcz fotela i, wzniosłszy oczy w górę, zaczął bawić się drewnianym nożem do przecinania kartek. Przyzwyczajony był do oskarżonych, mówiących bez końca. Zatem... cierpliwości!..

— W roku 70-tym, podczas ostatniej wojny — zaczęła swoją przemowę starowina — miałam dwadzieścia

dwa lata. Mój mąż należał do gwardji narodowej podczas oblężenia Paryża, a ja byłam wiwandierką w jego pułku. Podczas jednego z wypadów na Prusaków zranili mi go, ale udało się utrzymać go przy życiu. Odtąd trzeba było samej mordować się, aby wyżywić chorego męża i jedyną córkę. Narazie wyzdrowiał, ale w parę lat potem umarł. Za nim poszła wkrótce córka, pozostawivszy mi dwoje dzieci... — Zatrzymała się, aby stwierdzić, czy komisarz i policjant słuchają jej opowiadania. Nie była tego pewna. Policjant stał milczący i nieruchomy, jak żołnierz na posterunku, obok komisarza, pogwizdującego i bawiącego się nożem do przecinania kartek i mającego oczy wciąż wzniesione w górę.

— Wnuczce mojej — zaczęła znów — na imię Julisia, tańczy w teatrach, jest sławną kobietą. Pan komisarz nieraz pewnie widział portrety jej w gazetach i na afiszach. Widuję ją tylko od czasu do czasu. Pewnego rana, kiedy ciągnęłam wózek, o włos nie przejechał mnie jej samochód. Rozpłakała się, ale wciąż powtarzała, że to moja wina, dla tego, że upieram się przy sprzedawaniu moich warzyw i nie chcę z nią zamieszkać. Zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy Julisia i jej brat byli dziećmi... Ale, to trudno. Jest się tem, czem się jest. Ja, prosta kobieta, nie lubię życia arty-

stów. Czy mam rację panie komisarzu?

Komisarz przestał pogwizdywać i zaczął przyglądać się warzywniczce z pewnym zainteresowaniem. Musiał znać jej wnuczkę, słynną tancerkę. Chciał zadać starej pytanie na ten temat, ale nie dała mu przyjść do słowa.

— Moim ulubieńcem był zawsze Albert. Dobry był z niego robotnik. A jak lubił książki! Nie chciałam nigdy od nikogo zależeć, ale do niego chodziłam codziennie. Pomagałam jego żonie, niańczyłam ich chłopaka. Prawnuka! Czy może pan zrozumieć, panie komisarzu, jakie to szczęście?... Nie każdemu dał pan Bóg doczekać się prawnuka.

Zatrzymała się na chwilę, jak gdyby owładnięta czarem słodkich wspomnień.

— O! dobre czasy pokoju! — dodała. Jednej niedzieli pojechaliśmy wszyscy na wieś; zjedliśmy obiad na brzegu Sekwany, aby uczcić awans Alberta, który został podmajstrzym w swojej fabryce... W dwa tygodnie potem wybuchła wojna.

Komisarz zrobił gest, który stara wzięła za objaw zniechęcenia.

— Tak, tak, wiem że to już cztery lata trwa ta wojna i że wszystkim sprzykrzyło się mówić o niej. Nie będę więc długo o niej gadała. Mówią ludzie, że nawet w teatrze i w gazo-

tach mają już dosyć wojny! A zresztą to, co mnie spotkało, to los tylu kobiet!... Albert zaciągnął się do swojego pułku zaraz w pierwszym dniu mobilizacji. Zobaczyłam go dopiero po roku, kiedy wrócił z frontu w mundurze. Potem, po pewnym czasie, znów powrócił. Przyzwyczaiłam się w końcu do tego. Wyobrażałam sobie, że wszyscy mogą zginąć, ale nie mój Albert... Aż tu kiedyś dostaję papier... Ile napłakałyśmy się—ja i jego żona... Potem kolega mojego wnuka przyniósł nam jego rzeczy... Głos staruszki zalał się.

...Nie widziałam go już więcej, panie komisarzu. Zabili mi go!

Przypomniawszy sobie jednak daną obietnicę, uspokoiła się wysiłkiem woli i postanowiła nie mówić więcej o wojnie.

— Wdowa po Albercie pracuje teraz w fabryce naboju, na drugim końcu Paryża, rzadko więc tylko mogę widywać mojego prawnuka... A zresztą, co tu ukrywać!... Od czasu, jak mój Albert nie żyje, lubię częściej, niż dawniej, zajrzeć do butelki. Zalewa się robaka, jak można. Już mi niewiele brak do siedemdziesiątki, a w tym wieku, jak trzeba wstać o świcie, aby kupić towar z wozów, lampka wina od czasu do czasu najlepszym jest lekarstwem. Zgodzi się pan ze mną, panie komisarzu?...

Komisarz nie odpowiedział, aby dać starej do zrozumienia całą niewłaściwość jej pytania. Zresztą, nie czekając na jego odpowiedź, zaczęła znów mówić z pewnym już pośpiechem; był to wyraźny znak, że zbliża się do najciekawszej części swojego opowiadania.

— Dzisiaj, o zmierzchu, byłam w szyneczku ze starym Crainquebillem. Pan komisarz zna go pewnie. Jego nieszczęścia opisane są w książkach i komedjach.

Nazwisko to zdawało się budzić w umyśle dostojnika niejasne jakieś wspomnienia. Twierdzenie, że nieszczęścia jego opisano w książkach, zastanowiło go na chwilę, wnet jednak wzruszył ramionami, zdradzając wyraźnie nieufność.

— Jego historję — mówiła dalej staruszka — opisał pewien pan Anatol, który pracuje z tamtej strony Sekwany w warsztacie uczonych; ho, ho... Cały pałac z kopułą, w którym uczą, jak przemawiać pięknie do bogatych.

Komisarz drgnął aż na swoim fotelu pod wrażeniem zdumienia. Ten warsztat uczonych nad Sekwaną — musiała to być napewno Akademia Francuska; dom z kopułą — instytut, a ów pan Anatol, nie kto inny, tylko Anatol France.

— Jakto, czy stary Crainquebille? naprawdę istnieje — zapytał z niedowierzaniem.

— Ależ znam go od trzydziestu lat. Nie handlujemy wprawdzie w tej samej dzielnicy, ale widzimy się co rano przy zakupie towaru, a wieczorem

bywamy w tym samym szyneczku Biedny człowiek! Dziwnie mu się nie wiedzie w życiu. Teraz zupełnie już z nim kiepsko... przestał pracować. Znadto zmądrzał. To jego opiekun nagadał mu tyle rzeczy. Ile razy tylko mam czas, idę do szyneczku, aby go posłuchać.

Zatrzymała się, aby zacząć dalej od miejsca, w którym jej przerwał.

— Powiedziałałam więc, że spotkaliśmy się przy lampce wina. Wyszło się ztamtąd o dziewiątej wieczorem i, sama nie wiem, jak to się stało, że zatrzymałam się przy wejściu do kinematografu i skusiłam się pójść zobaczyć. Zachęcił mnie afisz, na którym ładna młoda Alzatka broni się zjadle przed okrutnym Niemcem. Pasjami lubię takie historie. Jestem wielką patriotką. Pewnie dlatego, że przeżyłam dwie wojny... Ale nie mówmy o tem. Stary Crainquebille nie chciał wejść, chociaż mu fundowałam. Nie wiem naprawdę w czem gustuje. Ze wszystkiego się śmieje z jakimś politowaniem. Weszłam więc sama, ale widocznie w złą godzinę. Czy panu komisarzowi nie zdarzyło się, że czasem wszystko idzie na opak: jak się chce zrobić ludziom przyjemność, obraża się ich, jak gdyby sam diabeł człowieka kusił...

Komisarz nie raczył odpowiedzieć.

— Pokłóciłam się z kasjerką o susa, czy jest fałszywy, czy nie; potem miałam awanturę z tym, co odbiera bilety, ponieważ jej basował... W sali ta sama historia! Moi sąsiedzi zaczęli narzekać, że znadto hałasują. Oburzyła mnie ta niesprawiedliwość!... nie lubię wadzić nikomu. Jakaś fidrygantka obok mnie odważyła się powiedzieć, że czuć odemnie wódkę. A inny jakiś drab odezwał się: „Trochę za gruba ta stara! Czy aby wystarczy dla niej jedno krzesło”? Odpowiedziałam im po swojemu, a publika zaraz zaczęła ujadać na mnie, że przeszkadzam im patrzeć. Przemilczałam tylko dlatego, że zaczęli na płótnie pokazywać historję Alzatki i Prusaka. Bardzo zajmująca historia! Opowiedziałabym ją panu komisarzowi, ale boję się, że pana znudzę. A zresztą, nie wiem, jak się skończyła: nie pozwolili mi zobaczyć końca.

Komisarz znów wlepił wzrok w sufit i znów zaczął z cicha pogwizdywać, aby opanować zniecierpliwienie.

— Jakiś pan, który siedział za mną, i który widać znał się na tem, objaśniał wszystko pocichu swoim sąsiadom... Alzatka zdążyła już uciec przed Prusakiem na front i obraz pokazywał okopy z mnóstwem żołnierzy, z kuchnią, z armatami. Jeden z żołnierzy odwrócony tyłem do publiki, pisał list na kolanach. W pewnej chwili odwrócił głowę i uśmiechnął się do sali. Zaćmiło mi się w oczach, czy co?!... Krzyknęłam głośno!... To był mój chłopak! mój Albert!...

Podniosłam się, żeby lepiej widzieć; chciałam biec do mojego

wnuka. Może trochę zabardzo potrącałam ludzi, przeciskając się. Myśleli pewnie, że się awanturuję, bo jestem pijana. Naraz woźni i publika zagrodzili mi drogę. Nie chcieli słuchać tego, co mówiłam. Pewni byli, że się upiłam! Zaczęłam się bronić pięściami i kułakować tych, co mnie pchali do wyjścia. Zawołali pana policjanta, tego właśnie, który tutaj stoi. Powiadają, że go znieważyłam, że go ugryzłam w rękę. Nie mam pojęcia, jak to się zrobiło. Ale ten pan siłą pchał mnie do wyjścia i nie dał mi patrzeć na mojego Alberta.

Zatrzymała się na dłuższą chwilę. Oczy jej zaczęły zachodzić łzami.

— Tak oto — zakończyła — zobaczyłam znów mojego chłopaka... Bardzo przepraszam pana komisarza i przepraszam pana policjanta.

Spuściła głowę, złożyła ręce i wlepiła wzrok w podłogę, zamknawszy się w dobrowolnym milczeniu, zdając się na swój los i nie broniąc się więcej, a grube łzy ciurkiem ciekły jej po twarzy.

Komisarz nie wyrzekł słowa, zwrócił się do stojącego obok policjanta, weterana, ozdobionego krzyżem walecznych i kilkoma galonami. I on patrzył na swojego zwierzchnika. Był pozornie nieporuszony, tylko zagryzał kilkakrotnie szczeciniasty swój wąs.

Obydwaj porozumieli się wzrokiem. Komisarz zwrócił policjantowi protokół, który tamten napisał przed półgodziną w sali poczekalnej.

Weteran, wciąż milczący, przedał papier na kilka kawałków.

— Może pani pójść, pocziwa staruszko...

Głos komisarza zbudził starowinę z zadumy. Więc naprawdę pozwalają jej iść?... Dobzry, kochani panowie!

— I będę mogła wrócić do kinematografu? — dodała niespokojnie. Pozwolą mi patrzeć co wieczór na mojego chłopca?

Obydwaj mężczyźni uśmiechnęli się z jej naiwności i odpowiedzieli gestem potakującym.

Wyszła z komisariatu wolnym krokiem. Nie chciała, aby myślano, że ucieka, jak ci, co mają nieczyste sumienie...

Ale, znalazłszy się na ulicy i widząc, że nikt jej nie śledzi, zebrała w garść spódnice i zaczęła pędzić z lekkością młodzieńczą. Pomarszczona jej twarz spąsowiała ze zmęczenia, a siwe kosmyki włosów wymykały się w nieładzie z pod chustki, zawiązanej dokoła głowy.

Kiedy przybiegła do kinematografu, wychodziły już ostatnie grupy widzów. Woźni gasili światła i zdejmowali afisze. Ku wielkiemu zmartwieniu staruszki zamknęli wnet potem drzwi.

Pozostała nieruchoma, oparłszy się łokciem o mur i podparłszy czoło ręką. Płakała bezradna, jak płaczą ciężko zmartwione małe dzieci.

— Czeakać do jutra! — szeptała. — Tak długo nie mam widzieć mojego chłopca!...

## E M I L V E R H A E R E N

Dachy, dzwonnice i wieżyczki jakby stapiały się w poranych czerwonych lunach i sadzach rozemdlonych, po których przechadzały się ognie sygnałów. Łuk olbrzymiego wiaduktu ciągnie się wzdłuż ponurych, monotonnych bulwarów; A tam steamer ochryplą nawołuje głosem rogu. Po monotonnych ponurych bulwarach, na ekranie mgły surowej przewalają się cienie skłębionych, popychających się mas. Powietrze przesycone jest siarką i naftą. Wytacza się olbrzymie mętne słońce. I umysł raptem zabłądzi w dziedzinę niemożliwego, cudacznego, ku zbrodni czy cnotce, niewiadomo, co na tych dekoracjach ma się rozegrać! Tam, na tych placach naprzeciwko, gdzie olbrzymi czarny orzeł rozpościera skrzydła we mgły ze sztandarem w szponach bazaltowych,

O, wieki, wieki, nad tem miastem unoszące się!!...

Cudna medytacja ciągnie się przez długie cudne strofy, ogromnie deklamacyjne, gibkie i nieprzymuszone, jak improwizacja — a rymy zlatują się same do ręki, jak karmione gołębie.—Kończy ją strofa taka:

Ale czemuż jest zło i godziny obłądu, i baseny występku, w których fermentuje życie miast wielkich, skoro dnia pewnego z głębi mgieł i obłoków wynurzy się znów Chrystus nowy, cały wyrzeźbiony ze światła, który ludzkość do siebie podniesie i da jej nowy chrzest ognia z nowych gwiazd!

Tak ustawicznie zwracam się do was, o ludzie przyszłości, że wy niezawodnie na bloku prawdy jedynej, którą potraficie wydobyć z wszechbytu, wy ustawicie powszechne porozumienie się ludzkie.

Ten akt wiary w omnipotencję w omiscie nauki jest jeszcze jedną więcej zasadą do tytułu Wielkiego Modernisty.

## II.

## KSIĘGA NADCZŁOWIEKA.

Książka, której Verhaeren nadał wspaniały tytuł: Rytmy Górne, mocą tego tytułu została pasowana przez samą świadomość poety na jego dzieło naczelną: całkiem słusznie:—jest ona nie tylko dziełem Jego najwyższym, jest zarazem dla Niego najbardziej charakterystycznym.

Możnaby ją nazwać Księgą Nadc człowieka — jest to bowiem galerja Tytanów, podchwyconych w jakimś nieśmiertelnym geście, w jakiejś monumentalnej pozie, wydartej z historii od początku świata po dzień dzisiejszy.

Orszak rozpoczyna Ewa z poematu Raj — ale jakże inaczej, jak wręcz odmiennie od biblijnej pojęta! Ta, na którą tradycja zwała całe brzemie ludzkiej niedoli, całą odpowiedzialność potępiającą za „grzech pierworodny”, podniesioną została do godności Nadkobiety, Wielkiej Matki i za ten „grzech” właśnie wyniesioną przez poetę z padółu łez i hańby na niebo i postawiona na sierpnię księżycy, jak nowa Madonna.

Adam był niewolnikiem Boga — istota bierna, pozbawiona genjuszu i woli, ugiął się pod Ręką, co go stworzyła, gotów pełnić po wieczne wieki Jej prawo. Ale Ewa była duchem twórczym — który, czując w sobie potencję nowego świata, drżmiącego w swem łonie, zakłada protest i podnosi bunt przeciwko temu, co istnieje, w interesie tego, co ma się stać!.. Skamieniała na wieki bierna doskonałość — niezmacona niczem monotonna harmonja — szczęście przerażające, którego nic nigdy nie może wytrącić z równowagi — to był świat boski, który musiał ustąpić nowemu porządkowi, wywodzącemu się z Ewy. Ona z woli i energii twórczej wyprowadziła świat ludzki, świat walki i cierpienia, świat wiekuistego stawania się, wiekuistego, idącego w nieskończoność i wieczność excelsior! — Ewa z ciemnych głębin swojej natury, wydobyła odkrytą odgadniętą miłość — tę, która w łonie swoim stwarza nowe życie.

W pięknych strofach, kończących poemat, Ewa okiem proroczym widzi całe to morze ludzkie, które z amfory jej łona wyleje się w wieczność. Widzi nieprzeliczone zastępy synów swych i córek, wspinające się w śmiertelnych, a błogosławionych wysiłkach na niebotyczną górę... I wszystkich na tysiące lat przed narodzeniem się każdego ta Wielka Matka całowała w czoło...

Kiedyś nareszcie, błądząc po okolicy, Ewa zaszła niespodziewanie w ustron nieznajomą, na ścieżki nigdy przez siebie niedeptane... Otoczył ją kraj obcy, ale który raptem dziwnie się pamięci przypomniał?!... Poznała drzewa na tragicznym rozstaju i drogę boleści, łzami wygnania wykropioną... Tak! — tu był Stracony Raj... stała u wrót rajul... Furta jego była odemknięta... i anioł uśmiechał się zachęcająco... Ale Ewa odwróciła głowę — i nie weszła!

Świat klasyczny reprezentuje „Herkules”, wzięty w tym momencie, wysoce tragicznym, gdy wielkość po raz pierwszy spostrzeża, że nie jest już największą!... gdy Wielkość czuje, że przeżyła siebie i rozpaczliwie szuka dookoła czynu, co by był godnym zakończeniem życia. Instynkt nieomylny podszeptął Herkulesowi, że tym dziełem jedynym, jakie mu jeszcze do zrobienia pozostało, to była bohaterska śmierć!

Czasy Chrystusa reprezentuje „Święty Jan”, a średniowiecze Wielcy Mnisi.

Papiestwo było już grobem i piołem, kiedy oni, ci władcy świata, galwanizowali szkielety i śmierć czynili płodną dla życia. Oni byli wieżami światła — sterczeli, jak placówki, po ziemi rozstawione, wznosząc w obłoki krzyże gorejące „Złote ich klaszatory na Jasnych Górach tworzyły wieniec na czole Europy z kwiatów wiedzy i zapachu”.

Poemat Magnetyczny (Les Attirances) wprowadza nas w samo serce Współczesności. Technika jego ma coś z najnowszego francuskiego portretu, który zaciera nawet rysy, uwidoczniając tylko wzrok i jakiś skurcz twarzy, będący jej wyrazem.

Ominięte są wszystkie szczegóły informacyjne. Nie wiemy nazwisk, sytuacji społecznej, ani rodzinnych stosunków.

Nic — tylko On i Ona.

Całą dekorację romansu zrobiło kilka strychów ołówka: „dom jej oskrzydłony przez powiewne bluszcze” tam, gdzie „fala omywa lądy rodzinne” i: „Opuszczony już dzisiaj kijosk staroświecki, gdzie urodziła się ich sympatja”.

Jedynym wydarzeniem: odjazd jego za oceany w poszukiwaniu wielkiej kariery — gdy Ona zostaje w domu swym, „na brzegu złotych łądów — i rzek, które z pod serca wysyła kraj Flamandów”.

Bardzo szczegółowo natomiast traktowany jest szkic Wielkiego Miasta — przypominający zdjęcia kodakowe. — Miasto jest symbolem Wielkiego Nowożytnego Życia i w poemacie odegrywa pierwszorzędną rolę „trzeciej osoby”, tej, o którą zaczyna się konflikt dramatu.

W poemacie, w którym się nie dzieje, miejsce faktów zajmują studia psychologiczne, po których, jak po pajęczynach, przesuwają się znizane łzami, perypetje dramatu. Dają nam one bezpośrednio czucie tej wielkiej, zobopólnej miłości i tej wielkiej tęsknoty po rozdziale „dwóch serc, wyciągających ku sobie przez ocean dłonie”.

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

V.

Piękny parowiec „Eridan”, poruszany motorem, sprowadzonym z Londynu od inżyniera Watta, płynął triumfalnie po falach Po aż do Wenecji, gdzie inauguracja tej, symbolicznej znaczenie mającej żeglugi, odbyła się, jak święto narodowe, dla gromadki, skupionej około Confalonierich.

Sieć szkół lankasterjańskich zasnuwała ziemie włoskie: 600 najuboższych dzieci uczyło się w Medjolanie, 400 w Brescii pod światłą pieczą Mompianiego. W Weronie i Mantui działali bracia Ugoni i Arrivabene, we Florencji organizował dzieło oświatowe Tartini.

Ziarno, które siał Confalonieri, padło na grunt urodzajny. A że rząd, patrząc na tę robotę, „zrząsał się z gniewu i zgrzytał zębami”, to tylko podniecało radosną i zachwałą przekorną działalność, którzy, zatopieni w pracy pożytecznej i owocnej, nie widzieli, że nad ich głowami zbiera się ciężka burza, która przed żniwem niszczy plon. Okoliczności jeszcze ją przyspieszyły.

Na wiosnę 1821 roku wybuchła w Hiszpanii wojskowa rewolucja. Za jej przykładem poszedł Neapol, a następnie Piemont, zwracając pełne nadziei oczy na młodego księcia Carignan, wnuka Franciszki Krasińskiej, w którym upatrywano wodza ruchu narodowego.

Austrjacki zabór drżał ze wzruszenia, dławionego strażą bagnatów, odcinających chińskim murem prowincje lombardzko-weneckie od reszty ojczyzny. Confalonieri rzucił się do Toskanji, aby tam nawiązać nici z innymi prowincjami, a zwłaszcza z Piemontem.

Nowy rok 1821 zastaje go we Florencji przy kominku salonu Jabłonowskich, którzy opuścili Neapol, niestety, wskutek jakiejś niemilej, karcarskiej afery księcia Ludwika. Karolina ze smutkiem zegnała Włochy i, chcąc przed ostatecznym odjazdem zobaczyć się z przyjacielem, dała mu romantyczną godzinę spotkania, „godną jego”, o północy 31 grudnia, dodając dyskretnie: „o ile pańska żona nie będzie miała nic przeciw temu...”

Obok wielkiego politycznego dramatu odgrywał się cichy domowy dramat Teresy, która samotna i smutna spędziła święta i rozpoczęła nowy rok: ciężki 1821-szy rok.

Hrabiego pociągnęły do Florencji sprawy ważniejsze, niż rendez-vous z polską przyjaciółką, ale widać z listów, pisanych do żony, że mimo pogodzenia się, traktował ją wyłącznie, jak dobrego towarzysza, ani jednego ciepłego słówka lub życze-

nia: sama polityka wypełnia te krótkie, dość posępne kartki.

Do niewesołych refleksji przyszedł Lombardczyk, patrząc na przebieg sąsiednich rewolucji. Mimo to wyteżył wszystkie siły, aby spowodować rzecz, jedynie zbawienną jego, zdaniem, wciągnięcie księcia Carignan do akcji, doprowadzenie go, aby on sam na czele armji piemonckiej zajął Medjolan. Gino Capponi miał służyć Confalonieremu za pośrednika, gdyż on i książę: „dwaj ludzie, którzy trzymali w ręku nici wyzwolenieckiego znaku Włoch”, nie znali się osobiście.

W oczekiwaniu ważnych zdarzeń, gorączkowym pędzonym pośpiechem, jechał w pierwszych dniach stycznia do domu, w roztopach zimowych zamoczył nogi po kolana, przeziął i stanął w Medjolanie chory i gorączkujący.

Ale „wściekła gorączka” ogarnęła go dopiero, gdy spadł nań cios, burzący najbardziej umiłowaną pracę jego życia. 15 stycznia 1821 dekret cesarski zamykał wszystkie szkoły wzajemnego nauczania w obrębie lombardzko-weneckich prowincji. „Obie ręce gryzłem z rozpacz”, pisze do Capponiego, przyjaciele jego byli równie zrozpaczeni: „Bronimy naszych szkółek, jak matki broniły dzieci przed Herodem, ale cóż poradzić przeciw bagnatom”, pisał Arrivabene. Pani Teresa musiała nadludzką siłą podolać wszystkim obowiązkom, jakie się naraz na jej głowę zwały: pielęgnowanie chorego męża, likwidacja szkół i związane z tem kłopoty, a przytem gorączkowe, skryte informowanie wszystkich, tajnymi niemi złączonych działaczy, tracących orientację w chwili niemocy Confalonieriego, jedyne go człowieka partji liberalnej w Lombardji, mającego autorytet i powagę.

Intensywna praca lat ostatnich, wzruszenia dni bieżących zużyły silny organizm, wywiązała się choroba sercowa i w „Tłusty Wtorek” karnawału dobiegła do Florencji wieść żalobna że hr. Fryderyk jest w agonji.

— Nie mówcie o tem księżnej bez przygotowania! — troszczyli się przyjaciele\*).

Pani Teresa nie odstępowała od łóżka chorego i walczyła po bohatersku ze śmiercią o tę najdroższą głowę. Z podziwem patrzyli na nią ota-

czający, „Któż umie opisać, ile przeszła najlepsza Contessina — pisze Zygmunt Trecchi — pod każdym względem ona zachowuje się, jak anioł. Zarazem tkliwa i mężna, zrozpaczona w przedpokojach i spokojna przy boku najdroższego umierającego. Federigo zdaje sobie doskonale sprawę ze swego stanu i mówi o nim ze spokojem, który budzi podziw i rozdziera serca przytomnych”.

Niebezpieczeństwo minęło wreszcie i 17 maja pisze pani Teresa do Gina Capponiego, „z pokoju swego chorego”: „Radujmy się, mój drogi, margrabio, nasz Federigo został nam powrócony!”

W tej chwili ogromnej radości gasną wszystkie dawniejsze smutki, wszelkie niepokoje o przyszłość. Ukochany chory jest dla tej dobrej kobiety dzieckiem najmilszym, które na rękach nosi i pieści, szczęśliwa, że jego oczy patrzą na nią z serdeczną wdzięcznością i śmiertelnie znużona głowa opiera się ufnie o jej piersi.

Krótką chwilą błogiej ciszy, ostatnia sielanka przed straszliwą tragedją. Zaprawdę zrywa się z łóżka niecierpliwego pacjenta, mimo dwudziestupięciu upustów krwi i trzy tygodniowej głodówki rwący się do czynu. Powietrze jest duszne i brzemienne gromami.

„Wojska austriackie maszerują, aby ukarać rebeljantów neapolitańskich” — pisze Confalonieri do Jabłonowskiej. — „Gdy będą przechodzić przez Florencję i bębny ich zagrzeczą wzdłuż Arna, gdy pani usłyszy i ujrzy te falangi, przeciągające pod oknami swemi, pewny jestem, że pomyśli pani o mnie i o gorących życzeniach, jakimi im towarzysze.”

Austrja robiła porządek w Neapolu, a równocześnie w Wenecji aresztowała podejrzanym. Silvio Pellico, Maroncelli i kilku innych ludzi z kółka Confalonierich, obwinionych o należenie do Towarzystwa Karbonarjuszów, już siedziało w areszcie a śledztwo otoczone było tajemnicą. Niebawem rozeszła się straszna wieść, że tym młodym chłopakom grozi szubienica, a sąd czeka tylko na „ojcowski podpis idiotycznego Nerona, Nerone imbecille”. (List Confalonieriego do Lady Sydney Morgan).

Tymczasem „dobra Zofja” Woynianka przywiozła z Florencji tajne listy od Capponiego, Confalonieri, w gorączce jeszcze, z łóżka ruszyć się nie mogąc, słał zaufanych ludzi do ks. Carignan: Giorgia Pallavicino, Gaetana Castiglię.

\*) Ks. Karolina dowiedziała się o chorobie przyjaciela od hr. Berga, wówczas konkurującego o hr. Annoni-Cicogna i liczącego się do kółka Rosjan, kokietyjących z inicjatywą samego cara z rewolucyjnym ruchem we Włoszech. Ciekawie wygląda to nazwisko późniejszego satrapy Warszawy między imionami patrijotów i rewolucjonistów.

## 5) CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Jak widzimy zatem z wszystkiego powyższego, Lamarckowska teoria przystosowania natchnęła świat pedagogiczny wiarą w celowość i owocność zabiegów wychowawczych wbrew opinjom poprzedników, przypisujących wszechpotęgę cechom dziedzicznym, mającym jakoby bezapelacyjnie decydować o ukształtowaniu się charakteru i uzdolnień dziecka.

Wiarę w celowość i owocność umiejętnie stosowanych zabiegów wychowawczych umacnia nadto i potęguje akcentowany obecnie coraz silniej przez naukę czynnik sugestji. Naukowe określenie terminu tego brzmi, jako „stwarzanie drogą trwałego, jednostajnego wpływu sztucznego zacieśnienia świadomości w jednym kierunku, wskutek czego, wszelkie myśli i wrażenia poboczne zupełnie, a przynajmniej w znacznym stopniu, uchodzą z zakresu jej wpływu, jak we śnie na przykład”. Zazwyczaj występuje sugestia łącznie z rodzajem hipnozy, Istnieją też liczne przykłady, stwierdzające, że pod wpływem takiej sugestji hipnotycznej udawało się leczyć jednostki, obciążone zbroczeniami i chorobliwymi, często zbrodniczymi nawet, popędami i skłonnościami.

W zastosowaniu do wychowania dzieci normalnych najważniejszym jest oparcie zabiegów wychowawczych na niezaprzeczoną fakcie suggestywnego oddziaływania żywego przykładu i zachęty, z których czerpie soki odżywcze tak potężny u dziecka popęd naśladowczy. Na tem właśnie polega wielki wpływ wychowawczy najbliższego dziecku środowiska, którego odpowiednio celowe ukształtowanie jest jednym z naczelných, dających największe szanse powodzenia, zadań pedagogiki. W tem tkwi doniosłe znaczenie pełnego miłości, umiejętnie zorganizowanego życia rodzinnego i rodzinnego ciepła, pod którego wpływem najbujniej rozkwita młoda płonka ludzka.

Rzeczą rodziny, przede wszystkim matki, z przyrodzenia i z konieczności pozostającej w najbliższym z dzieckiem zetknięciu, jest stanąć na straży wychowania najwcześniejszego, opartego na dwu faktach biologicznych: na dziedzicznie dziecku przekazanych, wrodzonych jego skłonnościach i popędach oraz na przeciwdziałającej im lub pobudzającej je — w miarę wskazań wychowawczych — suggestywnej sile otoczenia.

Ażebym zadaniu takiemu godnie sprostać, nie wystarczą jednak najlepsze nawet chęci przy braku odpowiedniego przygotowania, to znaczy odpowiedniego pogłębienia wiedzy pedologicznej. Zagranicą pomyślano o tem od dość dawna. W 1910 r. w

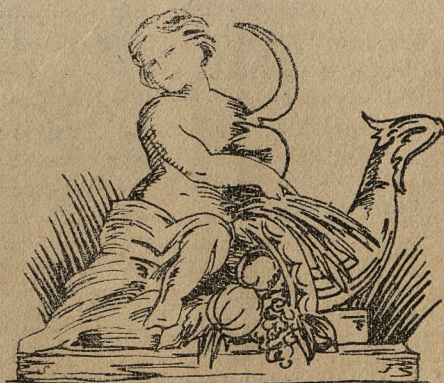
ufundowanej w Lipsku przez znaną przywódczynię niemieckiego ruchu kobiecego, Henriettę Goldszmidt, tak zwanej *Frauenhochschule*, urządzono specjalną katedrę przygotowania słuchaczek do ich macierzyńskiego w przyszłości powołania. Katedrę tę objął jeden z najsłynniejszych pedologów doby obecnej, dr. Johannes Prüfer, którego wykłady, a nadewszystko ćwiczenia seminaryjne z zakresu wiedzy pedologicznej i psychologii dziecka, wyszkoliły cały szereg kobiet, doskonale przygotowanych do czekającego je doniosłego zadania.

U nas sprawa naukowo traktowanego wychowywania najmłodszych leży nieomal jeszcze odłogiem. Nie mamy źródeł czerpania naukowych jej podstaw, nie mamy odpowiednich pracowni i seminarjów praktycznych, ani osób wyszkolonych do ich stosowania.

Wobec doniosłego wszakże znaczenia, jakie ma wychowanie właśnie w okresie najwcześniejszym na rozwój jednostki, konieczną jest gruntowna tej sprawy reforma. Jeśli wychowanie najmłodszych odpowiedzieć ma zadaniu, jakie wkłada na nie stan dzisiejszy pedagogji, musi organizacja jego — o ile ma być celową — cztery zasadnicze objąć punkty:

1<sup>o</sup>) Wychowanie najmłodszych, zaczawszy od chwili narodzin, oparte być musi na podstawach naukowych, celem ustrzeżenia dróg jego i środków od dowolności i przypadkowości.

2<sup>o</sup>) Matki, jako właściwe wychowawczynie dzieci w okresie przedszkolnym, muszą być lepiej, niż dotychczas, przygotowywane do najdonioślejszego swojego posłannictwa. Państwo i społeczeństwo ma obowiązek przychodzenia im z pomocą w spełnianiu tego obowiązku. W dobrze zrozumianym własnym interesie powinno im państwo i społeczeństwo umożliwić materialnie poświęcenie



się wychowaniu dziecka nie tylko w krótkich chwilach, wolnych od pracy zarobkowej.

3<sup>o</sup>) Zakłady i instytucje publiczne, mające na celu wychowywanie najmłodszych; ogródki dziecięce, szkolki freblowskie, żłobki i ochronki winny być zorganizowane z uwzględnieniem stanu obecnego pedagogji i poddane ścisłej kontroli ministerstwa oświaty.

4<sup>o</sup>) W szkołach żeńskich, instytutach pedagogicznych i uniwersytetach winien być otworzony dział specjalny, poświęcony teoretycznemu i praktycznemu przygotowaniu przyszłych matek i wychowawczyń do naukowego traktowania pedagogiki okresu przedszkolnego.

Nie znaczy jednak, aby jeszcze przed zrealizowaniem całkowitem wszystkich postulatów powyższych nie dało się wiele w tym kierunku zrobić indywidualnie. Przedewszystkiem zaś narzuca się konieczność pilnego gromadzenia obserwacji w postaci dzienniczków — nie tylko na własny użytek poszczególnej matki czy wychowawczynie, ale, jako cenny materiał dla celów wychowawczych, winne obserwacje te, notowane najściślej, obiektywnie i planowo, być przedmiotem wymiany wzajemnej pomiędzy matkami, a nawet ogłaszane drukiem dla szerszego ich rozpowszechniania.

Otwiera się tutaj najwdzięczniejsze pole pracy dla szczęśliwie przez los uposażonych kobiet, którym warunki materialne pozwalają cały swój czas poświęcić dziecku, a którym właściwe zrozumienie ciążyącej na nich odpowiedzialności dyktuje konieczność należytego wywiązania się z zadania, jakie im powierzyła natura.

Wyżyskanie wrodzonego dziecku popędu do zabawy, rozwijanie jego zmysłu estetycznego, kierowanie odpowiednio jego upodobań, niezamykanie oczu na wady jego i zbroczenia celem skutecznego z nimi walczenia i możliwego im przeciwdziałania — oto szereg zadań, które — niezależnie od daleko idących reform zasadniczych na polu pedagogiki najmłodszych — podjęte być mogą i powinny przez każdą rozumną, sumienną matkę czy wychowawczynię indywidualnie.

Celem ułatwienia im spełnienia tych zadań rozpatrzeć się postaramy w artykułach następnych każde z zagadnień poszczególnie, usiłując — obok zapoznania czytelniczek z naukowymi teorjami i poglądami, panującymi w danej dziedzinie pedagogji — dać im możliwie najwięcej wynikających z nich wskazań praktycznych.

7)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

## KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

日本女カコシンスキ

1. Zgrabne i szczupłe figury Japonek. 2. Kształty kobiece powinny się zacierać z tą samą skromnością, z jaką się ukrywa ich dusza. 3. Odzież Japonek i poszczególne jej części. 4. Cwiartki papieru zastępują chusteczki do nosa. 5. Tytoń przynieśli do Japonji Portugalczycy. 6. Chód Japonek. 7. Obuwie. 8. Przy wejściu do mieszkania obuwie się zdejmują. 9. Walanie mat — jest obrazą Istoty Niewidzialnej. 10. Charakterystyczny chód Japonek. 11. Przeszło 70 wytwornych sposobów uczesań. 12. Japonki nie noszą ani kapeluszy, ani chustek. 13. Stałe fryzjerki. 14. Oryginalne oczy i cynobrowe usta. 15. Czernienie zębów. 16. Noszenie dzieci na plecach. 17. Ręce i nogi są arcydziełem rasy japońskiej. 18. Czasy babek obecnych Japonek. 19. Japonki palą tytoń. 20. Czystość ogólna — jest godłem Japończyków. 21. Zamiłowanie do kąpiele.

O damach Japonji nie można byłoby powiedzieć, że zerwano dwańście sznurowadeł, ażeby je ścisnąć mocno i zrobić ich figurę szczuplejszą. Paczą one w tym samym stopniu może naturę, co i nasze kobiety, ale w celu wręcz przeciwnym. Biust i biodra, okryte długą, prosto spadającą, fałdzistą szatą, nie powinny zatrzymywać wzroku. W pojęciu japońskim przyzwoitość wymaga, ażeby kształty kobiece zacierały się z tą samą skromnością, z jaką się ukrywa ich dusza, która te kształty ożywia.

Japonki ubrane są zazwyczaj w suknie, zwane kimono (rodzaj naszego szlafroku z szerokimi rękawami), w dni zaś chłodne i dżdżyste otulone w haori (rodzaj peleryny). Kimono z lekkiego materiału, bez żadnych zapieć, rozcięte z przodu, z zachodzącymi na siebie połami, przytrzymuje lekko pas szeroki, zwany obi, pokryty najpiękniejszym haftem, fantazyjnie wiązany z tyłu w ogromny kanciasty pukiel, który nadaje kobiecie japońskiej specjalne jakieś piętno, jakgdyby dźwignia ogromnego ciężaru. Pas ten, długości dziewięciu metrów, jako nieodzowna część ubrania japońskiego, jednocześnie jest znakomitą skrytką, zawiera ona bowiem sakiewkę z pałeczkami, używanymi do jedzenia, fajeczkę wraz z kopciuchem do tytoniu oraz zwierciadelko europejskiego wyrobu i różne inne drobnostki toaletowe.

Kimono jest długą powłóczystą suknią, wspólną dla obu płci. Rę-

kawy tej sukni są niezwykle obszerne i wiszące. Służą one w potrzebie, jako kieszenie. Tam ukrywa Japończyk cwiartki papieru, zastępujące im w zupełności chustki do nosa, za pasem noszą zawsze fajeczkę wraz z kopciuchem do tytoniu.

Przy tej sposobności należy zaznaczyć, że tytoń przywieźli do Japonji Portugalczycy dopiero w siedemnastym wieku. Od tego czasu jednak zdążył on uzyskać tu jaknajszersze rozpowszechnienie. Japończyk pali zazwyczaj w ciągu całego dnia, od tego dzień się zaczyna i na tem się kończy.

Japonki nigdy nie chodzą wyprostowane, a wskutek noszenia get zmuszone są stąpać, prawie nieodrywając nóg od ziemi. Chodzą zazwyczaj drobnymi kroczkami z wyciągniętą szyją, trochę podskakując, a pochylone naprzód, uginają zbyt kolana.

Obfitość deszczów i wynikająca stąd stała wilgotność ziemi powoduje konieczność używania specjalnego obuwia. Używane są najczęściej albo wspomniane geta, rodzaj drewnianych trepek, składających się z drewnianej, poziomej deszczułki, podtrzymywanej przez dwie pionowe, albo też sandały ze słomy ryżowej, przytworzonej do nóg za pomocą przepasek płóciennych. Przy wejściu do mieszkania obuwie to zdejmują się z nóg, aby nie zawałać nigdzie podłogi, ponieważ walanie tatami (mat), wyściełających domy, albo mieszanie popiołu w hibachi (piecyk z węglami cedrowymi, służy zazwyczaj do zapalania papierosów) z jakąś rzeczą nieczystą byłoby obrazą Istoty Niewidzialnej. Czystość dobrej gospodyni w Japonji jest aktem pobożności.

Charakterystyczny chód i strój Japonek sprawiają wrażenie, jakgdyby młode wieszczki japońskie, dźwigające na głowie olbrzymie zwoje lśniących włosów kručzej czarności, kunsztownie i misternie fryzowanych, najeżone sztyldkretowemi szpilkami oraz przybranych kolorowemi wstążkami, były trochę garbate i koślawe.

Włosy smarują Japonki pomadą lub olejkiem kamelowym zarówno dla nadania im świetnego połysku, jak również i utrzymania czystości głowy. Wiadomo bowiem że Japonka czesze się raz na kilka dni! Częste czesanie, według twierdzenia musme, zabierałoby im za wiele czasu. Godny zanotowania kontrast z damą europejską, która ma czas czesać się dziesięć razy na dzień. Należy dodać, że Japonki nie noszą na głowach kapeluszy, ani chustek, wskutek czego prawdopodobnie fryzura włosów jest jedną z największych ich trosk toaletowych.

Dlatego przeszło siedemdziesiąt wytwornych sposobów uczesań wliczyć może Japonka, a każdy rodzaj nie tylko przeznaczony jest dla innego wieku, wzrostu, stanu i okoliczności, ale nawet humoru: osobne istnieją fryzury w chwilach radości i wesela, inne zaś w smutku. A ponieważ są to arcydzieła gustu i zręczności, trudne do wykonania na własnej osobie, przeto damy japońskie, a nawet kobiety z ludu zmuszone są utrzymywać stałe fryzjerki, przychodzące do domu w celu fantazyjnego upiętrzenia ich główek na dni minimum dziesięć. Ponadto niektóre, zapewne dla większej jeszcze kokieteryj, na sposób wschodni zasłaniają sobie twarze od dołu kolorowym kawałkiem jedwabnej tkaniny (szalem), zazwyczaj używając koloru błękitnego.

Oczy Japonek są bardzo oryginalne, a wskutek nabrzmiałości powiek podnoszą się ukośnie ku skroniom; nos i podmalowane na czerwono usta o cynobrowym odcieniu toną nieraz w pełnych, różowych policzkach. Do niedawna jeszcze kobiety zameżły czerniły sobie zęby na dowód, że nie dbają o to, aby się podobać innym. Często noszą na plecach niemowlęta, które ciekawie wyglądają z poza ramion lub odrzucają w tył główki, chwając niemi na wszystkie strony. Należy zwrócić uwagę, że tak, jak ręce, tak również i nogi są niezwykle arcydziełem rasy japońskiej. Stopy małe, szczupłe, zgrabne, zręczne, elastyczne, wytworne i delikatne, pozbawione wszelkich nagniotków i zgrubień skóry, z prześliczną linią układu palców z pięknie oprawionymi paznokciami, pokrytymi zwykle, jak paznokcie u rąk, specjalną glazurą, nadającą im szklisty połysk i delikatność. Całe nodze nadaje powabu kształtny krój łydki, którą rzadko kiedy widać z pod długiego do kostek kimono. Jako pończoszki, noszą Japonki rodzaj białych bucików płóciennych do kostek z jednym dużym palcem, oddzielonym, jak u rękawic. W tych chodzą po domu; na ulicę zaś nakładają geta drewniane, grube na kilka cali albo słomiane, zależy to od pogody.

Minęły już dawno czasy, kiedy babki dzisiejszych Japonek odsłaniały swe chude ramiona i zadawały sobie dobrowolnie tortury, ściskając się tak mocno, że fiszbyliny gorsetów wpijały się w ciało, a mężowie stanu, robiąc z siebie błaznów cywilizacji wybijali takt podczas tańca dam dworu. Dzisiaj te melancholijne osobki, niedopasowane do całego otoczenia, kręcą się między czarnymi frakami, dekorując ściany, poza którymi ukryłyby się chętnie, gdyby barwne ich obi nie przykuwały do siebie oczu zgromadzonych. Wszystko to czaruje w kobiecie japońskiej.

\*) Tytuł i nazwisko autora.

A co najważniejsze — to czystość ogólna tego narodu, będąca zdaje się częścią ich kultu! Jedną z największych ich zalet — to zamiłowanie do kąpeli. Najbardziej ulubioną przez nich jest kąpiel gorąca i to w tak wysokiej temperaturze, że kąpiący się nieraz mdleją. Kąpiel w Japonii jest ogólnym zwyczajem życia codziennego. Zwyczaj wymaga, aby cała rodzina japońska codziennie rano używała kąpeli w czystej, ale gorącej wodzie. Ponadto powszednim zwyczajem jest mycie rąk przed każdym jedzeniem. Nawet w modlitwach kapłanów, zwanych *norito*, pochodzących z zamierzchłej przeszłości, czytamy:

Wstawajcie wcześniej, umyćcie twarz i ręce, wypłuczcie usta i oczyście ciało. (c. d. n.)



### GÓRA AMERYKANKI!

Działaczka społeczna amerykańska, Ida Clarke, zamieszcza w jednym z pism nowojorskich artykuł, w którym wylicza zdobycze, osiągnięte w przeciągu ostatnich lat przez kobiety amerykańskie na polu pracy państwowej i społecznej:

„Siostry nasze w Anglii mogą się poszczycić ośmioma kobietami, piastującymi godność posłów do parlamentu. Jak wiadomo, jedna z nich, p. Małgorzata Boudfield, jest pierwszą kobietą — członkiem rządu angielskiego.

My to w Ameryce dalekie jesteśmy jeszcze od takich zaszczytów. Mamy dopiero jedną kobietę w Narodowym Kongresie, ale zato wybrałyśmy już 86 kobiet do Izb Prawodawczych poszczególnych stanów (state Legislatures), z których 5 zasiada w izbach wyższych. Pensylwania posiada już 7 kobiet w izbie prawodawczej, nawet najkonserwatywniejszy ze Stanów Zjedn., — Południowy Stan Missisipi, ma jedną prawodawczynię!

W Waszyngtonie kobiety zajmują kilka bardzo wysokich stanowisk administracyjnych. Mamy także jedną kobietę pośród naszej dyplomacji, jedną na stanowisku attaché do spraw handlu i przemysłu w Chinach. Kobiety również zyskują sobie stopniowo uznanie na polu sądownictwa. Sędzia Jean H. Norris w Nowym Jorku była pierwszą kobietą, która prze-

wodniczyła sądowi do spraw kryminalnych. W Ohio dwie kobiety są sędziami — Florence E. Allen w Sądzie Najwyższym, Mary B. Grossmann w sądzie municypalnym. Kobiety, zajmujące stanowiska w sądownictwie, są pod względem praw i uposażenia zrównane ze swymi kolegami — mężczyznami.

Również kobietom zawdzięcza Ameryka utworzenie Biura Opieki nad Dziećmi i nad Kobietami w Waszyngtonie. Dopiero usilna agitacja kobiet za koniecznością roztoczenia opieki rządu nad pracą małoletnich i kobiet skłoniła Kongres Waszyngtoński do zajęcia się tą sprawą. Przedtem członkowie jego wykazywali znacznie większe zainteresowanie kwestjami przemysłu, hodowli krów i bydła rogatego, niż opieką nad najmłodszym pokoleniem amerykańskim.

### APTEKARKI SZWAJCARSKIE.

Pismo feministyczne szwajcarskie „Le mouvement féminin”, ogłasza co tydzień krótkie sprawozdanie o nowych polach pracy dla kobiet, układane przez szwajcarskie Biuro Pracy Zawodowej Kobiet. W jednym z ostatnich numerów tego pisma rozpatrywaną jest kwestja farmaceutyki, jako zawodu odpowiedniego dla kobiet. W Szwajcarii daje się już dziś bardzo często spotykać kobiety, pracujące na tem polu w aptekach zarówno większych, jak i po większych miastach, są to jednak przeważnie nie tylko siły pomocnicze, pracujące pod kierunkiem prowizora — mężczyzny. Kilka jednakże kobiet jest już właścicielkami aptek i prowadzi je samodzielnie.

W r. 1917 Stowarzyszenie Aptekarzy Szwajcarskich apelowało do kobiet, podkreślając, iż profesja farmaceutki jest dla nich najzupełniej odpowiednią.

Artykuł omawia wyczerpująco przygotowanie fachowe, niezbędne do wydoskonalenia się w tym zawodzie, oraz podkreśla konieczność domagania się jednakowego uznania i równych płac w stosunku do aptekarzy — mężczyzn. „Skoro kobiety będą musiały przejść przez te same szkoły i osiągnąć to samo przygotowanie fachowe, powinny również uważać za swój obowiązek uzyskanie tych samych płac. Nie możemy stanowić niepożądanego konkurencji, opierając się na tem, że będziemy elementem tańszym, ale zato gorszym i mniej wykwalifikowanym.”

### NAGRODA ZA PRACĘ KOBIECĄ.

Pismo amerykańskie „Pictorial Review” ustanowiło nagrodę w postaci 5.000 dolarów, które mają być wypłacane corocznie „amerykance, oby-

watelce St. Zjednoczonych, która w przeciągu roku dokonane samodzielnie najlepszej pracy z jakiegokolwiek bądź dziedziny: czy to sztuki, literatury, muzyki czy też nauki, pedagogiki, przemysłu, pracy społecznej, ekonomicznej i t. d.

„Ustanowienie tej nagrody ma na celu:

„1-o. Zwrócenie uwagi cywilizowanego świata wogóle, a społeczeństwa amerykańskiego w szczególności, na wysiłki i pracę twórczą kobiet, która to praca naogół nie jest dostatecznie znaną i docenioną.

„2-o. Umożliwienie chociażby paru jednostkom ze świata kobiet, pracujących samodzielnie, chwilowego wypoczynku po tej pracy lub też dopomożenie do oddania się całkowicie tej pracy bez liczenia się z koniecznością postronnego zarobkowania.

„3-o. Zaznajomienie społeczeństwa z życiem i pracą wybitnych kobiet współczesnych naszego kraju.

„Pragnęlibyśmy, by ustanowione przez nas premjum nie było spóźnioną nagrodą, udzieloną w dowód uznania za przeszłe zasługi, jakiegokolwiek by one być mogły, i bez względu na konieczność takiego uznania. Naszym zamiarem raczej jest pobudzać do twórczości i wynagradzać za nią te kobiety, które się do takiej twórczości czują uzdolnione, które pragną jej poświęcić, a jedynie ciężkie warunki materialne utrudniają im osiągnięcie celu ich wysiłków.

### PIERWSZA ADWOKATKA W EUROPIE.

Jest nią 70-letnia włoszka, pani Lidia Pact, która pierwsza ze wszystkich kobiet w Europie ukończyła wydział prawny uniwersytetu w r. 1881, w r. 1884 doktoryzowała się i złożyła świetnie egzamin adwokacki, nie dopuszczono ją jednakże do praktykowania, gdyż ówczesny prokurator generalny przy Sądzie Apelacyjnym zaprotestował przeciwko temu, motywując swój protest przekonaniem, że kobieta nie nadaje się do spełniania funkcji adwota. Odebrano więc Lidji Pact prawo samodzielnego wykonywania zawodu adwokackiego, pomimo to nie zeszła ona z raz obranej drogi i pracowała w kancelarii swego brata, również adwokata, jako jego pomocnica.

Interesowała się zawsze gorąco sprawą ustawodawstwa karnego, biorąc czynny udział we wszystkich kongresach, na jakich kwestja ta była poruszana. Trzy razy uczestniczyła w tych kongresach, jako delegatka rządu włoskiego.



## KOBIECY W AUSTRII.

W parlamencie austriackim zasiada obecnie 8 kobiet, w radzie miejskiej w Wiedniu — dziewięć. Niedawno obraną została pierwsza kobieta na sędziego pokoju. Jest niejaka pani Mariana Betle, która ukończyła uniwersytet ze stopniem doktora obojga praw.

## CZYTELNIE WIEJSKIE W ANGLI.

Narodowy Związek Kobiet angielskich rozwinął ostatnimi czasy ożywioną działalność w kierunku zakładania czytelni i wypożyczalni książek po wsiach. Czytelni takich istnieje już w Królestwie Wielkiej Brytanji 3034, z tych 362 otwarto w przeciągu ubiegłych kilku miesięcy. Rząd angielski popiera gorliwie tę akcję, służącą do podniesienia poziomu kulturalnego ludu angielskiego. Delegacja członków Związku (których stowarzyszenie liczy około 150.000) udała się do ministra rolnictwa z podziękowaniem za subsydja i opiekę rządu nad tą pracą.

## UPADEK

## TAŃCÓW NOWOCZESNYCH.

Jak donoszą pisma angielskie, nowoczesne tańce chylą się coraz bardziej ku upadkowi, a na ich miejsce powracają dawne, niesłusznie wzgardzone, jak walc, kadryl i t. d. Na czele tej kompanji przeciwko nowoczesnym tańcom — równie zdaniem jej nieestetycznym, jak i niemoralnym — stanęła królowa angielska Mary. Z jej rozkazu usunięte zostały z balów dworskich wszystkie nowoczesne tańce, jak shimmy, one-step, jawa i t. d., natomiast wprowadzono na ich miejsce tańce z figurami, jak lansjer, kadryl oraz ulubiony taniec królowej — wdzięczny walc, który, jak wiadomo, królował dotychczas w salonach europejskich przez lat sto, bo od czasu kongresu wiedeńskiego, kiedy to pojawił się w rozbawionej podówczas stolicy naddunajskiej, jako „największa nowość”.

Z. B.

## Z naszych letnich stolic

Toruń w Sierpniu.

Tak niedawno jeszcze jedyną letnią stolicą Polski było Zakopane. Szukało się tam nie tylko czystego górskiego powietrza, ale także i szerszego horyzontu dla uczuć i myśli, możliwości odetchnięcia w swobodniejszej atmosferze, łatwiejszego spotkania się i porozumienia z rodakami z innych dzielnic.

Dziś, gdy dla letnich wczasów mamy całą rozległą Polskę otwartą, od wyboru naszego już tylko zależy, w której okolicy robimy nasze namioty, aby obok leczniczych

czy zdrowotnych tylko celów poznać piękno naszego kraju, zbliżyć się do zamieszkujących go ludzi. Nie omylę się jednak, gdy powiem, że największą liczbą t. zw. „letników” udawać się będzie corocznie w stronę Pomorza i to nie tylko nad skąpo nam wydzielone morskie wybrzeże, ale w głąb tej cudnej nadwiślańskiej dzielnicy, która bezsprzecznie jest i zostanie perłą korony polskiej. Każde tu miasto i miasteczko może być świetnym uzdrowiskiem ze względu na otaczające je lasy, na doskonałe kąpiele rzeczne i wszelkie kulturalne urządzenia. Co więcej, całe Pomorze to otwarta wciąż księga historii, w której każda z nas czytać może na starych murach zamków i kościołów dzieje swego narodu, śledzić jego nigdy nie kończącą się walkę z żywiołem germańskim, liezyć dni triumfu po klęskach. Stary Toruń, którego początki sięgają XII-go wieku, ów gród Bolesławowy, włączony do granic Polski, wyrąbany przez wielkiego króla i wzmocniony słupami w rzeki wbijanymi, był ciągle przedmiotem pożądliwości niemieckiej, niegdyś ukrytej pod kapturem krzyżackim. Przechożąc tak z rąk do rąk, stał się silną fortecą, a jedni czy drudzy posiadacze dokumentowali w nim swoją władzę, stawianiem cudnych średniowiecznych gmachów, które bądź myślą pobożną wystrzelały w niebo w ostrołukowych sklepieniach świątyń, bądź stanowiły zamki obronne.

Gdy po bitwie Grunwaldzkiej Prusy Królewskie przeszły na stałe już pod władanie Polski, z Toruniem, jako swoją stolicą, utrzymało się pomiędzy wyłącznie polskimi wioskami, a ziemczonem lub niemieckim mieszczaństwem zgodne współżycie, z którego, jakby świetnym kwiatem, wyrosła wiekopomna postać Mikołaja Kopernika. Ależ też i Polska wówczas była w najwyższym rozkwicie, bogactwie talentów i poziomie nauki, stała u zenitu, od którego szedł już potem zmierzch światła i upadek umysłowości tolerancyjnej, a szerokiej. I ze smutkiem śledzimy dzieje tego upadku na kościołach toruńskich. Odzwierciedlają się na ich murach walki dwóch wyznań: katolickiego i luterńskiego, odbieranie sobie świątyń, zdzieranie obrazów, burzenie ołtarzy. Jeszcze promieniem słońca w tej pomroce są mądre rozporządzenia Zygmunta Augusta, przywracające pokój i zgodę. Potem już Rzeczpospolita i jej wpływy na Zachodzie są coraz słabsze, aż przychodzą rozbiory i to, co zdawało się być na zawsze ugruntowanym, myśl państwowa polska, staje się łupem niemieckim i zdaje się ulegnie zupełnej zagładzie.

Dziś nadeszła chwila odrodzenia, i z ręką na sercu przewidzieć możemy, że jest ono zupełne i trwale się zapowiada. Ludność wraca do dawnej tradycji, pomaga jej do tego gorący, a twardo obroniony katolicyzm, który w niej nierozdzielnie z polskością się łączy. Po przelotnym więc spojrzeniu w przeszłość przyjrzyjmy się, w jaki sposób rozwija się nowe, polskie życie w mieście, które nie bez słuszności nazwałam letnią stolicą Polski. Przedzielone ono jest na dwie niemal odrębne połowy, jedna z nich to ów stary, średniowieczny gród, druga, to najbardziej nowożytnie miasto — ogród, jakie sobie wyobrazić można, Składa się ono z szeregu pięknych, ogrodami otoczonych o ukwieconych balkonach willi z jednej strony, z drugiej, z wielkiego, parę kilometrów ciągnącego się sosnowego lasu,

który ubiegliwa ręka i sztuka ogrodnicza na malowniczy park zamieniła. Powycinano w nim aleje, urządzone klomby kwiatowe, zrobiono podszycie grupom sosnowym z najradszych roślin i krzewów, rzucono altany, wykopano sadzawki z pływającymi po nich łabędziami, słowem stworzono raj ziemski. W tym raj u bawi się i wygrzewa na słońcu setki dzieci. Toruń bowiem stał się siedliskiem tysięcy młodych par wojskowych, urzędników i t. d. Ponieważ olbrzymie koszary, przez Niemców pozostawione, użytkowano nie tylko na pomieszczenie żołnierskie, ale i na zorganizowanie w nich 8 szkół wojskowych, więc w alejach lasu — parku roi się od uczniów i profesorów, a istniejąca tu filja księgarni Ignis z Warszawy na samych podręcznikach fachowych wiedzy wojskowej robi świetne interesy.

Dużo starszej dzieciarni wyjechało nad morze, a i tej jest tu podostatkiem, Toruń bowiem posiada dwa gimnazja: męskie i żeńskie, kilka szkół powszechnych dla starszej młodzieży, dwa seminarja nauczycielskie. W jednym tylko kierunku stała się jej krzywdą i to wcale nie miała. Niemcy zakładali wszędzie po miastach szkoły przemysłowe i tu dla tego typu nauczania wystawili gmach wspaniały. Niestety, nie służy on swemu przeznaczeniu, mieści się w nim bowiem urząd wojewódzki, składający się tu z 200 urzędników z wojewodą na czele.

Wobec projektu jednak przeniesienia tej władzy naczelnej Pomorza do Bydgoszczy — szkoła przemysłowa do swych praw powróci

Poza parkiem, gdzie koncentruje się niemal całe życie ludności miejskiej, dość wydatne powodzenie ma teatr, b. ważna tutaj placówka. Niemcy, budując gmach ten przed wojną, umieścili na jednej z jego ścian napis: „Tu nigdy nie będzie rozbrzmiewała polska mowa”. Jakże zmienne są losy! Dziś ci, co budują polski teatr w sąsiednim Grudziądzu, umieścili podobny napis z tą zmianą, że mowa polska zamieniona jest niemiecką. Co więcej, w tymże Grudziądzu młode nasze wojsko urządziło b. znamienne przedstawienie. Oto w rocznicę bitwy grunwaldzkiej, która wypada w pierwszych dniach lipca — urządzono wspaniałą pantomimę, przedstawiającą ten fakt dziejowy. Odtworzyło go na wzgórzach za miastem 200 ludzi i 100 koni, tworząc 4 obrazy, reflektorami oświetlone, przy dźwiękach kilku muzyk wojskowych.

Widzów zebrało się około 15.000.

Wracając się jeszcze do Torunia — za znaczyć należy, że na 50.000 mieszkańców ma on obecnie tylko 4.500 ludności niemieckiej, a 1000 żydowskiej. W dzielnicy ogrodowej coraz więcej wycina się obecnie ulic w otaczających miasto lasach; noszą one następujące nazwy: Sienkiewicza, Konopnickiej, Słowackiego, Mickiewicza. Większość gmachów szkolnych mieści się przy ulicy Sienkiewicza, w nowo zaś założonym parku miejskim wzniesiono pomnik dla naszego mistrza tonów, Stanisława Moniuszki. Dodać tu należy, że najpiękniejsze klomby kwiatowe i malownicze krajobrazy w parku-lesie urządzone już zostały przez miejskie władze polskie.

Czyż nie mam więc racji nazwać Torunia letnią stolicą Polski?

I. W. K.

## Na żółtym piasku francuskich wybrzeży

Elegancka paryżanka, wyjeżdżająca w sierpniu lub wrześniu nad morze, zabiera z sobą prócz sukien i okryć przedewszystkiem — kostium kąpielowy. Ścisłe mówiąc, jest to nie kostium, lecz raczej suknia kąpielowa. — Bo też trzeba przyznać, iż dzisiejszy strój, w którym elegancka kobieta wchodzi do morza mało przypomina dawniejsze majteczki i długą bluzę, w którą ubierały się nasze matki.

Wszystko w stroju kobiecym zmienia kształt, linję i barwę, więc i toaleta kąpielowa nic nie podobna do dawniejszej. — Chodzi tu głównie, aby być jak najpiękniej „rozebraną” i w tym celu dobór materiału, kolor i krój gra wielką rolę. Trykoty czarne lub jasne wyszły prawie z użycia, natomiast zapanowała tunika z małutkimi rękawkami, wycięta w karko, prosta, sięgająca do kolan, zapinana z boku, obszyta wokoło szyi, rękawów i wzdłuż zapięcia galonem, skrojona z wełnianego trykotu lub tafty jedwabnej z kieszonką na boku, na piersi lub na biodrze z wyhaftowanym monogramem lub znakiem. Czasem kołnierzyk i krawacik nadaje jej wygląd bardziej sportowy.

Głową kąpiącej się paryżanki stroi chusteczka kolorowa lub czepeczek z jedwabiu gładkiego lub szkockiego, który ślicznie wygląda przy sukni kąpielowej *szkockiej*, która piękną plamą rysuje się na morskiem wybrzeżu. Płaszczki kąpielowe robią się z kretonu w duże kwiaty i desenie, podbite materiałem *éponge*, lub z wełny. Często noszonym jest kolor szafirowy, na którym naszywa się biały galon, tak ułożony, aby tworzył dużą kratę. Włosy pokrywa się gumowym cieniutkim materiałem, a na nim dopiero układa się turbany, czepeczki, chusteczki i t. d.

Niektóre panie nie mogą nawet w wodzie obejść się bez biżuterji, wynaleziono więc rodzaj gumy kolorowej, z której robi się bransoletki, naszyjniki i kolczyki do... kąpiele.

Jeśli na wybrzeżu morskiem znajdują się muszle, to zbierajcie je starannie wszystkie kuracjuszki. Prześliczne rzeczy można z nich wykonać. Przedziurawiając muszelki i przytwierdzając na druciku — gałazce, można zrobić śliczne kwiaty i bukiety. Układając je jedną na drugą „szyje się” stylową suknię dla lałki, na lampkę, która, wieczorem zapalona, wygląda czarownie. Z większych muszli można zrobić kwiaty trwałe, nie zmieniające barwy, nie więdnące na słońcu i wietrze, do kapeluszy i do sukien, trzeba je tylko pomalować jaką jasną farbą lub na kolorowo polakierować. Z małutkich muszlelek robią panie oryginalne naszyjniki lub ozdabiają nimi suknie.

Regina z Szymańskich André.

w jakiej epoce powstały, jak narastały, jak kształtowały się nim przybrały formę ostatnią, zanotowaną przez współczesnych.

Rdzeń tych odwiecznych opowieści podajemy dziecku. Przędza ich omotuje intelekt i wyobraźnię jego z chwila, gdy budzi się pojemność zjawy myślowej i pierwsza zaróż refleksji.

Bajki o śpiących królewnach, kijach — samobijach, czapkach — niewidimkach, dywanach — samolotach, pierścieniach magicznych i hasłach sezamu — to pierwsza karm umysłów dziecięcych, podawana przez niańki, mamki, całe bliższe i dalsze otoczenie.

A potem — swojskie baśni ludowe o smokach Podwawelskich, Kurzych Stopkach, Myszach króla Popiela...

Jeszcze później — w 10, 11, 12 roku życia wielkie światowe epepe — Przygody Ulissessa i poematy z dzieł bohaterów własnego narodu. Każdy uczeń szkoły powszechnej wie o nich. Inteligentny, a zapalony nauczyciel mówi czasami o Zlocie Renu, potracą o sagi skandynawskie i ponure legendy celtyckie.

Baśnie, pisane przez ludzkość, podawane są więc dziecku wszystkich epok i wszystkich narodów — jedno po za programowe nawoływaniem strażników oświaty szkolnej, przedszkolnej i pozaszkolnej, inne — oparte na obowiązujących programach.

Są arcydzieła z krainy fantazji, są wizje, w syntezę życia realnego wplecione, które tworzy już nie ludzkość, lecz genjusz jednostki. Pisane są dla wybranych, ale zrozumie je każdy.

Czemu tak rzadko dajemy je dziecku? Czemu zniżamy sześćcio, siedmio, ośmioletnie maleństwa do opowiadań o pieskach, kotkach, barankach, tak niedość często układanych, bo to dla głuptasków, którzy nic nie „rozumieją”... Szuka dla nich i dla ludu przez małe S, gdy powinna nieść im najpiękniejsze twory swoje?...

Nie zdarzyło mi się spotkać w żadnej książce dla starszych dzieci cudnych bajek Wilde'a. A jednak są pomiędzy nimi arcydzieła, które — sięgając najwyższych lotów poetyckiej wizji, okazują się dostępne dla każdego umysłu.

Opowiadanie o „Szczęśliwym księciu” np. (The happy prince)...

Nad murami wielkiego parku wznosi się posąg z bronzu. Oczy — pyszne szafiry. Włosy ze szczerego złota. Rubin — olbrzym na palcu. Posąg księcia, który rządził małym państwem swoim, nic o niem nie wiadząc. Ministrowie i służba ukrywali przed nim wszystko złe, donosząc tylko o dobrem. Żył więc sobie w spokoju i szczęściu niefrasobliwy władca, sądząc, że wszyscy jego poddani tak, jak on, dalecy są od trosk.

Po śmierci dopiero, gdy pomnik, gurujący nad wysokimi murami dokoła pałacu i parku, murami, które zasłaniały mu kraj cały, — dojrzał nędzę ludzką, usłyszał głos bólu.

Przysiadła którejs nocy przed odlotem w ciepłe kraje jaskółka. Patrzyła w księżyc i zegnała drzewa parku. Wtem poczuła lży na skrzydełkach swoich. To płakał książę nad cierpieniem ludzi, których widział po za murem wysokim.

— Patrz — wskazał jaskółce — tam, gdzie to blade światelko wśród wąskiej uliczki, uboga matka męczy się nad chorem swem dzieckiem. Palce spuchły jej od zycia. Dziecko w gorączce prosi o sok pomarańczowy. Ona zrasza mu usta kroplą wody i szlacha. Weź ten rubin z mego palca i zanieś jej...

Jaskółka spełniła rozkaz. Odtąd co noc zegnała się z bronzowym księciem i co noc zostawała, bo za każdym razem padało zlecenie! Zdejmij złote pierścienie moich włosów lub korale ust i zanieś temu, tamtemu biedakowi...”

Aż skończyło się złoto, korale, rubiny. Nie było nic więcej do rozdania. Przyszła kolej na oczy — szafiry.

— Wyjmij i zanieś je nędzy...

Gdy oślepl, jaskółka przysiadła u stóp zeszpeconego posagu i opowiadała mu o cudach Egiptu, żeby zapomniał o ślepotcie i o całej swojej żebraczej postaci.

Przyszła zima. Jaskółka zmarła, zastygała w niej krew, ale nie porzuciła księcia. W tem kiedyś z rana spacerem przeszedł koło pomnika mer miasta. Zobaczywszy go w takim strasznym stanie, zwołał ludzi, kazał uprzętać natychmiast i z przetopionego bronzu odlać swój własny posąg.

Księżciu pękało serce z bólu, ale że było ciężkie z ołowiu, więc odrzucono je precz, jako grat niepotrzebny. Stróż, uprzętając gruz nazajutrz, znalazł obok pękniętego serca zmarznątą jaskółkę.

W bezgraniczne zdziwienie wprawił całe miasto ten ptak, zimą zbłąkany w północnej krainie. O księciu nie mówiono.

Czy do duszy dziecka nie przemówi to stworzenie takie wierne i ten miłosierny książę, przed którym ukrywano cierpienia ludzkie, gdy miał władzę i mógł czynić dobrze, a który — poznawszy świat, kiedy już był tylko martwą bryłą i nie miał nic własnego, — odzierał sam siebie, aby naprawić błędy nieświadomości swego? Czy nie zaryją się na zawsze w pojemnym, wrażliwym, zachłannym mózgu obrazy bezgranicznych poświęceń symbolicznego ptaka i alegorycznego księcia?.. Czy nie pójdzie za nim przez życie aż do śmierci — głos przemądrzych wskazań i błogosławionych poczyznań?..

Są w zbiorze „The happy prince” i „The garden of pomegranates” dwie jeszcze fantastyczne wizje, mogące zostawić w umyśle dziecka ślad niezatartv. Bajka o „Samolubie Olbrzymie” (Selfisk Giant) i o „Dziecku Gwieździe” (The Star Child).

Był niegdyś samolub potężnego wzrostu, który zamknął ogród — park swój przed dziećmi, bawiącymi się w nim radośnie przez czas siedmioletniej jego nieobecności, a wówczas zamarła wiosna, przestały śpiewać ptaki w państwie olbrzyma. Dokoła słońca, blaski, raj, — za murami parku drzewa, odarte z liści, kwiaty powiędłe, szara słota, dławiący, ponury spazm jesieni.

Przez jakiś drobny wyłom gdzieś w głębi muru przedostało się kilkoro dzieci i wnet rozblysł tam słońce, zazieleniały drzewa, rozśpiewały się ptaki.

Olbrzym zrozumiał. Nie może zamykać ogrodu, który był dobrem, szczęściem, radością wszystkich: inaczej sam z niego korzystał nie będzie. Otworzył więc bramy nacięzając i sam codzień bawił się z dziećmi. Odtąd była wiosna i radość, kwitły kwiaty, szumiały liście. Żył słońcem i czarem barw, zapachów bujny park.

Druga bajka o „Dziecku — Gwieździe” w porywających obrazach przedstawia pokutę królewskiego jedynaka, który przypadkiem w płaszczu z gwiazd wśród zimy dostał się do chaty miłosiernego drwala i tam, najpiękniejszy z dzieci całej wsi, gardził wszystkimi i wszystkim, aż stopniowo — po całym szeregu przeżyć pokutnych — zrozumiał nędzę puchy swojej i grzech próżności. Stał przed królewskimi rodzicami swymi już odrodzony, już sercem czysty. Krótkie jego panowanie było jednym aktem miłosierdzia i bezgranicznych poświęceń.

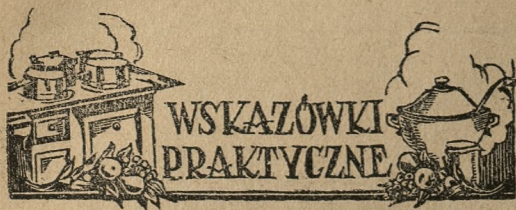
W opowiadaniach Wilde'a wszystko lśni barwą, gra zapachem. Wszystko mówi — kwiaty, ptaki, drzewa, zwierzęta. Mówi dusza poety, prosta, a wnikliwa. Zrozumie ją każdy, zapamięta, kto żdźbło dobrych zarodził ma w sobie.



BAJKI OSCARA WILDE'A DLA DZIECI.

W ciekawym i mądrym artykule swoim „Książka dziecka” (Nr. 21 „Bluszczu” z 1924 r.) pisze p. Stefanja Szuchowa: „Z krainy fantazji dajmy dziecku baśnie, pisane przez ludzkość.”

Są legendy, opowiadania, bajki, przechodzące z ust do ust po przez wieki. Niewiadomo, kto je stworzył? Pokolenia przekazują je pokoleniom, a uczeni szperacze badają,



## KONFITURY

**Jagody czarne i włochinie.** Szczególnie te ostatnie dają bardzo aromatyczną konfiturę. I jedne, i drugie nie są bardzo efektowne, w wielu jednak miejscowościach, gdzie o wykwintniejszy owoc trudno, lub w licznych rodzinach, gdzie chodzi o to, aby owoc użyty na konserwę, był niedrogi, jagody i włochinie w konfiturach będą mile widziane. Należy więc owoc przebrać jaknajstaranniej, na funt owocu funt cukru, na funt cukru szklanek wody. Gdy syrop się zagotuje, zszumować go, wsypać na wrzący jagody, smażyć, potrząsając miedniczkę i szumując, aż syrop zacznie nieco gęstnieć. Dodać na kilogram konfitur pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody. Włochinie mają własny, przypominający młode gałązki sosnowe, aromat, jagody potrzebują sztucznego aromatyzowania za pomocą wanilii, cynamonu, goździków lub olejku cytrynowego. Konfitury te, po lekkim przestudzeniu w miedniczce, można ciepłe jeszcze składać w słoje, gdzie się nie raz na powierzchni zleka galaretują.

**Gruszki.** Najłatwiejsze do usmażenia z dużych owoców, wymagające nie dużo cukru, gruszki smażyć powinny się znaleźć w każdej spiżarni. Na konfiturę brać należy gatunki niezbyt dorodne i niezbyt delikatne, aby przy smażeniu się nie rozgotowały.

Gruszki dojrzałe, lecz nieprzejrzałe, obrać ze skórki, wrzucić w zimną wodę, aby nie zczerniały, tymczasem skórki (łupinki), starannie opłukane, nalać wodą tyle, aby objęło, rozgotować zupełnie, precedzić przez gęste sitko i płynu tego użyć do gotowania syropu; — niektóre gruszki są tak słodkie, że na funt ich, — używając wyciągu z łupin, dosyc jest pół funta cukru — lub miodu, gdyż gruszki są najsmaczniejsze na miodzie. Jeżeli gruszki są twardego gatunku, należy przed smażeniem ugotować je na miękko w wywarze z łupinek, ostudzić, zalać na noc syropem z wywaru łupinkowego i połowy cukru, po 24 godzinach dodać do syropu resztę cukru i smażyć w nim gruszki, odstawiając co dziesięć minut od ognia, aby miały możliwość nasiąknięcia syropem. Gdy gruszki przezroczyste, a syrop gęsty, dodać zwykłą ilość benzoesu, ostudzić w miedniczce i składać do

słoju. Niektóre gatunki gruszek mają aromat właściwy, np. bery lub jałowcówki, innym gatunkom tego aromatu brak, można go zastąpić, dodając przy smażeniu kawałek wanilii, lub też wlewając do gotowanej konfitury, jeszcze gorącej, parę kropel essencji gruszkowej.

*Pani Elżbieta.*

## LIKIER CYTRYNOWY.

Na litr spirytusu dwa funty cukru (półtora funta kryształu i pół funta kostki), trzy duże lub pięć małych cytryn, funt syropu kartoflanego, (ten ostatni jest konieczny, aby nadać właściwą gęstość likierowi, używają go wszystkie rafinerie wódek). — wody 2 do 3 szklanek. Naprzód cukrem kostkowym należy otrzeć żółtość z cytryn, włożyć ten cukier wraz z kryształem w rondel mosiężny, (nie pobielany) niklowy lub zwykły emalowany, wycisnąć do tego cukru jaknajdokładniej sok z cytryn, dodać syrop kartoflany, następnie wody tyle, aby całego płynu było nie więcej litra. W tym celu najlepiej naczynie nalać przed użyciem wodą, wysokość wody oznaczyć na patyczku, którym się potem płyn mierzy. Postawić wszystko na silny ogień, aby się raptownie zagotował, — bardzo należy uważać, aby płyn nie wybiegł, gdyż syrop kartoflany w połączeniu z sokiem cytrynowym gwałtownie się burzy, naczynie należy brać bardzo obszerne i głębokie; gdy zawrzy i cukier się rozpuści, odstawić od ognia i do gorącego syropu wlać spirytus, poczem naczynie nakryć złożoną w kilkoro serwetą, aby aromat nie ulotnił się. Gdyby płyn nie był zupełnie klarowny, wrzucić doń łyżeczkę kwasu cytrynowego i wymieszać mocno, a natychmiast się sklaruje. Gdy zupełnie wystygnie, zlać przez lejek, do którego włożono kawałek waty hygroskopijnej, do suchych, czystych półlitrowych butelek od likieru. Z tej porcji powinno wyjść cztery takie butelki. Natychmiast zakorkować i używać dopiero we dwa tygodnie po zrobieniu.

*Pani Elżbieta.*

## STAROPOLSKI TORCIK.

Niekosztowny, a wydatny, ma tę zaletę, że trzyma się długo i najlepiej smakuje, gdy stanie się trochę czerstwy. Bierze się 2 kwarty mąki, 6 łutów drożdży, pół kwarty mleka, Rozczynia się naprzód trochę mąki z drożdżami i czeka się, aż się ruszy. ½ funta masła uciera się tymczasem na śmietaną, dodaje do tego ½ funta cukru i 8 żółtek i wlewa do rozczynionego ciasta; potem dosypuje się resztę mąki i miesi się należycie. Nakoniec wbić piankę z 4 białek i dosypać łyżeczkę soli. Jak się ciasto po raz drugi podniesie, wyrabiać cienkie placki (niegrubsze nad pół palca) i kłaść od razu na blachę (posmarowaną naprzód masłem).

Rozbić 2 białka i jedno całe jajo i połać suto po cieście. Mieć przygotowaną masę z pół funta umielonych migdałów i pół funta grubo utłuczonego cukru i nałożyć tę masę na polany jajem placek, dobrze ugniatając, aby nie odstawała, przybrać rodzynkami (można też i cykatak, cienko pokrajaną) mocno je wciskając. Pokłuć placki widelcem, aby się nie tworzyły budy. Wsadzić w piec dobrze wypalony najlepiej po babach. Jak się ładnie zrumienia, wyjąć.

## TORCIK ZE SKÓRKI POMARAŃCZOWEJ.

Mając ugotowane skórki pomarańczowe, można go zrobić samej, w pokoju, bez żadnej fatygi. Miętko odgotowane skórki z 4 pomarańcz utrzeć łyżką w donicy z funtem cukru na pomadkę. Wziąć 3 duże andruty i przełożyć 2 razy tą masą, przycisnąć na czas jakiś aby nie odstawały.

Taki sam torcik można zrobić następującym przełożeniem: 2 łyżki powideł albo marmelady (najlepiej morelowej) utrzeć mocno łyżką z 2-ma białkami, aż się zrobi kremik, którym przełoży się andruty.

## MARCYPAN RÓŻANY.

Zrobić syrop z funta cukru i szklanki wody, dodać 2 łyżki róży smażonej, a lepiej utartej na surowo z cukrem, trochę skórki cytrynowej, utartej na tarku. Dobrze wymieszać na ogniu. Jak trochę wystygnie, smarować oplatki, położone na porcelanowej tortownicy.

## MARCYPAN FIGOWY.

1 funt cukru zagotować z 2 szklankami wody, wsypać do syropu ½ funta tartych migdałów, a jak się dobrze zagotują, dodać jeszcze funt krajanych fig. Wymieszać i wkładać na opletki.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU  
**PIG. CHLOROFILOWE**  
GESSNERA  
115 preparat roślinny pobudza  
apetyt i wzmacnia organizm.

# GIMNAZJUM MĘSKIE WŁ. GIŻYCKIEGO

Warszawa, ul. Puławska 113, park Wierzbno

Egzamina wstępne do wszystkich klas odbędą się 28, 29 i 30 sierpnia b. r. o godzinie 9 rano

Gimnazjum mieści się w kilkudziesięcio-morgowym starym parku, posiada boiska do zabaw i gier ruchomych, tory saneczkowe, warsztaty do pracy ręcznej, tereny do nauki ogrodnictwa i warzywnictwa. W dni pogodne lekcje odbywać się będą w specjalnie na ten cel urządzonych klasach w parku.

Kancelaria czynna od godz. 10—3. Telefon 22-99. Tramwaj 1 i 19.

## Od Wydawnictwa.

**Prosimy o uregulowanie zaległej prenumeraty.** Wysyłkę „Bluszczu“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez Szan. Prenumerat. numery. Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. **W razie nieotrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownem tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszcz“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót oraz dodatek powieściowy, formatu książki, jak również arkusz naturalnej wielkości wzorów do kopjowania na materiale, do n-ru zaś po 15-tym każdego miesiąca — tablicę krojów. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu“ w kołach swoich znajomych. **Korespondencję należy umieszczać na czekach P. K. O. w wyznaczonym na korespondencje miejscu, gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.**

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 35

402. Koszula nocna z lila markizety, przybrana szeroką gipiurową wstawką. Czepeczek z lila organdiny, przybrany fioletową aksamitką.

403. Deseń na koszulę. Merezka i haft.

404. Sukienka dla małego dziecka z białej flanelki, przybrana kolorowym haftem.

405. Czepeczek dla małego dziecka z białej organdiny, wiązany na czarnej aksamitce.

406. Sliniaczek z białej piki, ręcznie wyzywany.

407. Suknia domowa z ciemno zielonego woalu. Przędz plisowany.

408. Deseń na koszulę. Merezka i haft.

409. Majtki i staniczek dla dziewczynki od lat 5 do 10, wykończone hafcikiem lub nicianką.

410. Kombinacja, koszula i majtki, przybrana galonem walansjenowym.

411. Suknia domowa z lekkiej wełny. Przy kołnierzyku i mankietach kolorowa wypustka.

412. Szlafrok z białej flaneli, obłożony ponsowym.

413. Matynka z białego woalu, przybrana materiałem czarnym w białe grochy.

414. Deseń na koszulę. Merezka i haft.

415. Kombinacja, koszulka i majtki, dla małej dziewczynki, przybrana merezką.

416. Sliniaczek z białej piki, wykończony falbanką z opalu. Groszki haftowane.

417. Czepeczek dla małego dziecka z kolorowej organdiny, wykończony dzierganymi ząbkami.

418. Fartuszek z niebieskiej dymki, ręcznie haftowany.

419. Deseń merezkowy na koszulę.

420. Szlafrok z materiału w paseczki. Kołnierz i szarfa w jednym kolorze.

421. Matynka z satyny niebieskiej, przybrana pliskami, ciętymi z satyny deseniowej w odpowiednim tonie.

422. Szlafrok z crêpe marocain koloru wiśniowego. Kołnierz biały.

423. Szlafrok z markizety deseniowej na białym tle. Rękawy i plisa białe.

424. Kombinacja, koszula i majtki z opalu, przybrane koronką filet.

## PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie . . . . . 48 zł. — gr.

kwartalnie . . . . . 12 „ — „

miesięcznie . . . . . 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie . . . . . 8 zł. — gr.

zmiana adresu . . . . . — „ 30 „

## CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona . . . . . 90 zł. — gr.

$\frac{1}{2}$  „ . . . . . 51 „ 75 „

$\frac{1}{4}$  „ . . . . . 29 „ 25 „

$\frac{1}{8}$  „ . . . . . 15 „ 75 „

$\frac{1}{16}$  „ . . . . . 9 „ — „

$\frac{1}{24}$  „ . . . . . 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń

Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje

wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na  $\frac{1}{4}$  część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

z góry.

425. 426. Deseń na koszulę. Haft biały.

427. 428. Narożniki chusteczek. Haft angielski i richelieu.

429. 430. Deseń na koszulę. Haft i merezka.

**UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.**

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

## TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie na blankietach czekowych P. K. O.

## OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“—Długa 9 i 1. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.  
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA  
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40